



Kinga Kalinowska

Ja to mam
SZCZĘŚCIE!

Kinga Kalinowska

Ja to mam szczęście!



Wydawnictwo Psychoskok
Konin 2016

Kinga Kalinowska
„Ja to mam szczęście!”

Copyright © by Wydawnictwo Psychoskok Sp. z o.o. 2016
Copyright © by Kinga Kalinowska, 2016

Wszelkie prawa zastrzeżone. Żadna część niniejszej publikacji nie może być reprodukowana, powielana i udostępniana w jakiegokolwiek formie bez pisemnej zgody wydawcy.

Skład: Agnieszka Marzol

Projekt okładki: Robert Rumak

Zdjęcie okładki © Fotolia - christophe BOISSON;
Fotolia - Aloksa

Korekta: Ryszard Krupiński, Marlena Rumak

ISBN: 978-83-7900-589-5

Wydawnictwo Psychoskok sp. z o.o.

ul. Spółdzielców 3, pok. 325, 62-510 Konin

tel. (63) 242 02 02, kom. 695-943-706

wydawnictwo.psychoskok.pl
e-mail:wydawnictwo@psychoskok.pl

Lipiec 2015

I

„Ja to mam szczęście” - myślę po raz n-ty i wzdycham głęboko, pakując starannie zwiniętą koszulkę do walizki (to ważne, żeby zwijać, nie składać, więcej się zmieści, a mniej pogniecie). Pakowanie do podróży mam wytrenowane do perfekcji, więc mogę działać na autopilocie i jednocześnie snuć luźne rozważania.

Lipiec jest chłodny, Olsztyn cały rozkopany wskutek „rewitalizacji transportu tramwajowego”, zakorkowany, z ciągle zmieniającymi się trasami dozwolonego przejazdu, co potrafi wkurzyć, bo jesteśmy już tym zmęczeni, ciągnie się od zeszłego września i uśmiech na widok tablic z tekstem ”Kierowco, uśmiechnij się, budujemy to dla ciebie” jest coraz bardziej krzywy. Co mądrzejsi, ze mną włącznie, traktują tego rodzaju niedogodność na spokojnie, dostosowując się do aktualnego układu. Co głupszy stoją w korkach i pultają się bezproduktywnie.

Bo tak w ogóle Olsztyn jest super miastem do zamieszkania, nie za duży, nie za mały, coraz ładniejszy z każdym rokiem, nowa plaża miejska z przyległościami na europejskim poziomie, stare, piękne obiekty sukcesywnie remontowane, pięknie wyeksponowana Łyna przez otoczenie jej parkiem, Galeria Warmińska to chyba nawet jakąś nagrodę architektoniczną zdobyła, no i w ogóle Starówka, zamek, katedra i tak dalej długo by wymieniać. Mnie, jako kierowcę, interesują nowe rozwiązania komunikacyjne, i póki co, widzę, że idzie to w dobrym kierunku. Poza wszystkim, ponieważ wiadomo, że forsa na to wszystko głównie z Unii idzie, jakoś łatwiej znieść uciążliwości ciągnących się w nieskończoność robót. Już nie mogę się doczekać porządnej drogi do Warszawy, gdzie często dojeżdżam do pracy, ale to jeszcze melodia przyszłości.

Mieszkając w Olsztynie, mam w otoczeniu osoby o różnym pochodzeniu i zwyczajach kulturowych, co bardzo mi odpowiada. Od dziecka miałam koleżanki i kolegów pochodzących z różnych stron Polski, przed i powojennej (wygnańcy z Wileńszczyzny i Zachodniej Ukrainy, warszawiacy, żołnierze AK, weterani Powstania Warszawskiego), a także różnej narodowości, przede wszystkim Niemców i Ukraińców z akcji „Wisła”, bo wychowywałam się w małym mieście na Mazurach, gdzie i nasi rodzice i my dzieci żyliśmy zgodnie, nie zwracając większej uwagi, jakie kto ma pochodzenie. Co prawda większość Niemców i tak wyjechała, ale była to emigracja z przyczyn ekonomicznych, przyjeżdżali czasami odwiedzić stare kąty, spotkać dawnych przyjaciół, znajomych, oni też mieli

sentymencie do małej ojczyzny z młodości. Wydaje mi się, że dzięki tym różnicom stworzyliśmy jedyne i niepowtarzalne społeczeństwo odporne na propagandę różnych oszołomów i nacjonalistów. Olsztyn dużo zyskuje na wielokulturowości, jest nawet niewielka, ale prężnie działająca mniejszość żydowska. Mamy kościoły protestanckie, katolickie, cerkiew prawosławną i grekokatolicką, wszystkie one latem organizują koncerty, na których chętnie bywam.

Wracając do rzeczywistości, w mieście na razie kaszana. Zamiast więc lecieć do ciepłego kraju, jak na skrzydłach, ja tutaj narzekam na swój los, bo i mam powód. Właśnie teraz interesująca, pachnąca gorącym romanssem okazja przechodziła mi obok nosa. Nie da się ukryć, że trochę za dużo wczoraj wypiłam, wino było wyborne, a towarzystwo jeszcze lepsze, bawiłam się bowiem szampańsko z Carlosem, jednym z trzech wakacyjnych lektorów hiszpańskiego, zatrudnionych w mojej szkole językowej na okres wakacji. Szefowa zapoznawała ich wczoraj ze szkołą i personelem, a potem wszyscy ruszyliśmy w miasto na okoliczność integracji. Od pierwszego wejrzenia wiedziałam, że jestem zainteresowana, i to bardzo, integracją z Carlosem, wysokim przybyszem z Barcelony. Generalnie nie przepadam za brunetami, moim ideałem jest roślina blondyn, a jeszcze lepiej rudy wiking, jednak bruneci zyskiwali u mnie szansę, gdy czas w naturalny sposób rozjaśniał ich włosy, więc mocno szpakowaty Hiszpan mieścił się w moim „targecie”. Ruszyliśmy grupowo do pobliskiej, greckiej restauracji, gdzie (dzięki zdobytym przez lata bycia singielką nieustająco i bez wielkich sukcesów, próbującą stworzyć z kimś parę, umiejętnościami) zręcznymi manewrami udało mi się zająć miejsce obok obiektu zainteresowania. Okazał się równie sympatyczny, co przystojny, wspaniale nam się rozmawiało, a po dwóch butelkach wina gotowi byliśmy (już w mniejszej grupie chętnych) na nocne szaleństwo w pobliskim klubie. W Olsztynie jest mnóstwo różnych, fajnych lokali i na każdą kieszeń i przeróżny gust. Tańczył świetnie, ja też nie najgorzej, więc świt (wczesny jak to na początku lipca) zastał nas na parkiecie. Wieczór nadzwyczaj udany, ale z powodu mojego wyjazdu nie będzie dalszego ciągu. Nie ma obawy, już się nim któraś z koleżanek zaopiekuje.

Zazwyczaj lubię ten dreszczyk, który czuję, gdy wyruszam w świat. Podoba mi się, że dzięki pracy w różnych dziedzinach uciekam od monotonii, która by mi groziła, gdybym tylko uczyła bez kontaktu z żywym językiem. Wyjazdy pomagają mi utrzymać wysoki poziom znajomości aktualnego hiszpańskiego, co zwiększa moje kompetencje jako lektorki i tłumaczki (a pracuję w jednej z najlepszych szkół językowych w mieście). Za każdym razem z radością wracam do szkoły i do tłumaczenia, zmęczona życiem w drodze, w ciągłej gotowości. Bo bycie pilotem jest jak bycie kapitanem statku, musisz starać się zadowolić turystów, a jednocześnie asertywnie utrzymać wszystko w ryzach. Za każdym razem powtarzam, „bój to był mój ostatni”, kończę definitywnie z pilotowaniem.

Jednak już po kilku tygodniach pomalutku zaczyna kiełkować w mózgu pomysł na jakiś wyjazd i gdy już tak naprawdę urośnie, że nie mieści mi się w głowie, nie ma rady, wyprowadzam go z głowy i zamieniam w konkretne działanie. Znowu sprawia mi przyjemność perspektywa mojej drugiej pracy, czyli pilotowania wycieczek, nie pamiętam już oczywiście co mnie tak zniechęciło poprzednim razem. Jestem „zresetowana”, wypoczęta i gotowa na nowe wyzwania. I tak cykl od lat się powtarza. Mam to szczęście, że moja szefowa ze szkoły jest wyrozumiała i tak układa kursy, żebym po powrocie z wojaży mogła już po kilku dniach rozpocząć kolejny. Jeżdżę głównie do krajów hiszpańskojęzycznych, byłam wielokrotnie we wszystkich, kocham te kraje, ich język i obyczaje i moją ambicją jest, żeby te swoje ciepłe uczucia przekazać uczniom w szkole i uczestnikom wycieczek. Przeważająca liczba wycieczkowiczów lubi takie emocjonalne zwiedzanie i zawsze mam liczną grupę głodnych wiedzy turystów, nawet wśród koneserów różnych lokalnych napojów rozweselających.

Bywa też, że potrzebna jest obsada do kraju portugalskojęzycznego (portugalski znam średnio na jeża) lub takiego, gdzie wszyscy porozumiewają się po angielsku, a pilot nie zna języka lokalnego (na przykład Sri Lanka), bo oczywiście pilot musi znać angielski. Aha, słabo bo słabo, ale znam też rosyjski, jak każdy z mojego pokolenia (czasem ta znajomość bardzo się przydaje, na przykład gdy pilotuję w Bułgarii).

W tym sezonie popilotuję kilka turnusów w Hiszpanii, a w drugiej połowie października (już się cieszę na to dolce far niente) zamieszkam w charakterze opiekunki domu w Maladze, w nadmorskiej willi pewnej zaprzyjaźnionej polsko-hiszpańskiej pary. Dostałam tę propozycję od Mirki, bliskiej koleżanki ze studiów, z którą utrzymuję sporadyczny, ale bardzo serdeczny kontakt. Jakies dwa tygodnie temu zadzwonił telefon:

- Kinga, ratuj, mamy z Paco problem, może ty mogłabyś pomóc. Od połowy do końca października wybieramy się na objazd północnych Włoch. W domu miała zamieszkać, jak zwykle przy takich okazjach, nasza gospoia Maria, ale w tym terminie spodziewa się najazdu krewnych z powodu jakiś rodzinnych uroczystości, może więc przychodzić na parę godzin dziennie, ogarnąć chałupę i posesję, ale mowy nie ma o gotowaniu czy spaniu w naszym domu. Wiesz, monitoring monitoringiem, ale zawsze pewniej, gdy ktoś jest na miejscu. No, błagam, zgódź się, znam cię, lubisz czasem sama wypoczywać, no przecież, lubisz Malagę, masz Internet, więc praktycznie nigdy nie jesteś sama, no, proszę?

- Mirka, ale ja już mam wszystko poustawiane, nie wiem, czy będę mogła wykroić z planu te dwa tygodnie, ale znasz mnie dobrze, propozycja jest kusząca, więc obiecuję, że się postaram. Staraj się, pokrywamy wszystkie koszty, jakie będziesz musiała ponieść, no, nie daj się błagać, zgódź się. Obiecuję, że zrobię wszystko, co w mojej mocy.

I postarałam się, choć wymagało to wylewania łez, załamywania rąk i tak dalej, ale firmie udało się załatwić za mnie zastępstwo na ten turnus i jeszcze zgodzili się wziąć mnie ze sobą na pokład samolotu, wracającego do Polski po ostatnim objeździe. Cudownie!

II

Kolejna skarpetka wciśnięta do buta, ale zaraz, gdzie jest ta od pary? Zaczyna się poszukiwanie i w łeb bierze teza „jaka to znakomicie zorganizowana jestem w pakowaniu”. Prawda jest taka, że choć podejmuję nieustanne próby uporządkowania rzeczy wokół siebie, zawsze znajdzie się taki złośliwy przedmiot (tam jeden, mnóstwo!), któremu wybrałam bardzo dobre miejsce na przechowanie, ale za nic w świecie nie mogę sobie tego miejsca później przypomnieć. Czasem dobre efekty daje rozpoczęcie poszukiwań innej rzeczy, a wtedy ten pierwszy poszukiwany fant wpada nam, jakby niechcący, prosto w ręce. Niestety muszę przyznać: czasami ponoszę porażkę w walce z rzeczami martwymi, ale uruchamiam wtedy plan B i usiłuję przekonać siebie, że jest on o wiele lepszy niż plan A. W tym wypadku planem B będzie wybranie innych skarpetek, trochę mniej pasujących, ale co tam!

Metodę planu A i B, a nawet czasem C, stosuję do większości życiowych sytuacji. Na przykład z moją córką Martą. Czy ja nie chciałam, żeby poszła na studia, jak należy, potem podjęła odpowiednią dla siebie pracę, później może stworzyłaby jakiś związek? Jednym słowem wszystko po kolei, spokojnie, bezpiecznie, pod moją czułą opieką. Nie, moje dziecko zmusiło mnie do realizacji planu B, czyli, musiałam zgodzić się na jej roczną wędrowkę po Indonezji i jeszcze widzieć w niej dobre strony, jak to, że otrzaska się z samodzielnością, kontakt z inną kulturą da jej szerszą perspektywę, nauczy się doceniać wartość w inności, no i pozna kolejny język. Same plusy, tylko że ja jej tam nie pomogę, nie ochronię przed niebezpieczeństwem, kilka tysięcy kilometrów od niej, skazana jestem na bierne trwanie w niepokoju i niedospane noce. Całe szczęście, że jest Internet i jesteśmy w stałym kontakcie, inaczej chyba umarłabym, a już na pewno zachorowała z lęku o nią. Ma dopiero dwadzieścia lat! Prawda, że od osiemnastego roku życia sama się utrzymuje, pracując w firmie internetowej (naprawdę nie daje mi się dokładać, pozostawiając mi jedynie możliwość dorzucania się do jakiejś rzeczy, na którą samej nie byłoby ją stać, a na której jej szczególnie zależy), mieszka w Warszawie i żyje własnym życiem. Tak patrzę i widzę, że tak żyje wielu młodych ludzi, mają dużo alternatyw na życie, może czasami zbyt dużo i z tą mnogością możliwości nie zawsze potrafią sobie poradzić. Przyznać jednak trzeba że, jeśli tylko zechcą, świat stoi przed nimi otworem, nie do pomyślenia za mojej

młodości.

Ja ją rozumiem, w jej wieku też chciałam mieszkać sama, ale nie miałam jak zarobić w trakcie studiów na samodzielne życie. W rodzinie była trójka dzieci, prawie w tym samym wieku (brat rok starszy, siostra cztery lata młodsza) nie mogę się nadziwić, jakim cudem udawało się moim rodzicom nas utrzymać i to w poczuciu stabilności finansowej, wszyscy na studiach poza domem rodzinnym. Mama pracowała i zajmowała się domem, tata oprócz głównej pracy dorabiał na wielu frontach, no ale coś takiego, jak samodzielne mieszkanie to był luksus, na który mało kto mógł sobie pozwolić. Zamiast tego przez pierwszy, najtrudniejszy rok studiów mieszkałam w czteroosobowym pokoju (do trzyosobowego dostawiono po prostu czwarte łóżko), ale za to w znakomitym towarzystwie, koleżanki wszystkie super. W następnych latach był już pokój trzy, a na ostatnim roku nawet dwuosobowy.

Ta potrzeba posiadania „swojego kawałka podłogi” wynikała z mojego charakteru, osoby niby towarzyskiej, wygadanej, ale w gruncie rzeczy raczej wrażliwej, schowanej za maską pełnej radości życia ekstrawertyczki. Geny to raz, ale przeżycia też ważne. Dzieciństwo dzielę na „z dziadkiem” i „po dziadku”. Za jego życia królewna, kropeczka, na którą nie pozwalał powiedzieć złego słowa i opiekował się bardzo czule (z opowieści mamy wiem, że dla swoich dzieci był niedostępny i surowy). W chwili jego śmierci miałam prawie 4 lata i zbiegło się to w czasie z przyjściem na świat mojej siostry. Spadłam z piedestału i musiałam radzić sobie sama, uwaga wszystkich skierowana była na najmłodsze dziecko, które stało się z kolei oczkiem w głowie babci, przybyłej do nas do opieki nad Ewą. Do tego ta ciasnota, spałyśmy z babcią i Ewą w jednym malutkim pokoiku. Co prawda, prawie wszyscy wokół nas tak żyli, takie były czasy, niełatwe dla wrażliwców, a ja byłam z pozoru dzielna i twarda, ale pod spodem bardzo wrażliwa. Co tu dużo gadać, nie byłam łatwym dzieckiem, bez przerwy wdawałam się w kłótnie z rodzeństwem i rodzicami, ale największą wojnę toczyłam z babcią, która, co oczywiste, bardziej kochała Ewę niż mnie. Teraz, jak na to z dystansu patrzę, to nie mogę wyjść z podziwu, jak oni wszyscy tego rogatego diabełka, jakim byłam, kochali, jak starali się go obłaskawić, czymś ucieszyć.

Moi rodzice, pokolenie tuż-powojenne, sami wyszli z biednych domów, w których nie okazywało się uczuć, nie chwaliło, nie nagradzało, a to, że rodzina ma się trzymać razem, było oczywiste, tyle dzieci, tyle pracy, w gospodarstwie i w domu, kto by tam sobie zaprzętał głowę wyrazami miłości. Można powiedzieć, że jestem poniekąd dzieckiem akcji „Wisła”, bo rodzina mojego taty została wyrzucona z domu na skutek denuncjacji przez sąsiada, który upatrzył sobie ich pole. Byli łatwym celem, bo na ich niekorzyść przemawiało unickie wyznanie i bliskość lasu koło gospodarstwa. Jak pamiętam, babcia zawsze gdy to wspominała, najbardziej ubolewała, że nie pozwolono im zebrać plonów, a to był

to czas żniw. Moja mama zaś pochodziła z północnozachodniego Mazowsza i na Mazury przywiódł jej rodzinę pożar domostwa, nie mieli wyjścia, tu czekało gotowe do użytku gospodarstwo. Bieg historii sprawił, że na ludzkiej tragedii wypędzonych Mazurów musieli budować życie od nowa, sami też wygnani ze swoich domostw. Gdyby nie wojna, mała byłaby szansa na spotkanie moich rodziców. A tak stworzyli rodzinę, w której dzieci były najważniejsze, starali się zaspokajać nawet mniej konieczne potrzeby i ciężko pracowali, żeby zapewnić jako taki byt licznej rodzinie, dać nam wykształcenie i szansę na lepsze życie. Starali się też, żeby dzieci nie odczuwały ciężkości życia w komunie, sporadycznie wysyłali do kolejek, gdy nie można było kupić słodczy, zdobywali je różnymi sposobami, a mama, która była honorowym dawcą krwi i dostawała tabliczkę czekolady na regenerację sił po zabiegu, przynosiła ją do domu dla dzieci. Czy my to docenialiśmy? A skąd. Nam się to należało, bo byliśmy dziećmi, nie da się cofnąć czasu i zmienić przeszłości, a jedyne, co mogę zrobić, to starać się teraz być dobrą córką, a z przeszłości pamiętać miłe chwile, których nie brakowało.

Teraz pytam samą siebie, jak to jest możliwe, że ta zbuntowana, najeżona, biedna dziewczynka i dzisiejsza ja, to jedna i ta sama osoba. Dzisiaj prowadzę wprawdzie trochę nietypowe, ale w gruncie rzeczy fajne życie, jestem wrażliwa, ale umiarkowanie. I do życia podchodzę z dużą tolerancją, no bo tak: mam wspaniałe dziecko, piękną, wysoką jasnowłosą, niebieskooką córkę, bliskiego przyjaciela w byłym mężu, dużą, kochającą rodzinę, trzy siostrzane czarownice, Alicję, grono niezawodnych znajomych, a z przyziemnych rzeczy dającą mi przyzwoity dochód i satysfakcję pracę. Jestem średniego wzrostu, średniej tuszy, mam blond (fałszywy, tak naprawdę jestem siwa jak święty Mikołaj), średnio długie włosy, regularne rysy twarzy i szaro-zielono-niebieskie oczy. Tak, nie boję się tego powiedzieć: jestem atrakcyjną czterdziestoczworoletką, która dzięki dobrym genom, zdrowemu stylowi życia (ha ha ha) i chyba głównie dzięki zaprzyjaźnionej specjalistce medycyny estetycznej wygląda dobrze i młodo. Moja bratanica, która jest początkującą pisarką i na prezentach świątecznych umieszcza adekwatne do sytuacji sentencje, ostatnio napisała do kogoś „nie zapomnij, że uroda to przyjemność i przygoda” i ja się tego trzymam, bo powszechnie wiadomo, że nie ma kobiet brzydkich, są tylko takie, które dbają o siebie i eksponują atuty, nie przejmując się wadami, i takie, które nie akceptują swojej kobiecości i po prostu o siebie nie dbają, zabierając sobie tym samym i przyjemność i przygodę i urodę. Na kremy, różne kwasy i olejki wydaję grosze (zamawiając przez Internet), ale systematycznie je stosuję i to daje efekty. Inna sprawa to medycyna estetyczna, tu wydatek jest niepomiarowo większy, ale wart swojej ceny. Nieraz mam wyrzuty sumienia, że jestem rozrzutna, ale mówię sobie wtedy, że starzeć się z godnością można równie dobrze dbając o siebie, niż nic nie robiąc. Chcę wyglądać najlepiej jak się da w moim wieku i tyle, i jeśli jest coś, co może mi w tym pomóc, dlatego

miałabym sobie odmawiać? Dużo rzeczy robię sama i bardzo to lubię: codziennie kremy nawilżające, w sezonie na dzień pełny filtr UVA i UFB, zawsze staranny makijaż (staranny, bo ma dać efekt promiennej cery i błyszczącego oka, a nie efekt pod tytułem ładny makijaż, taki to robiłam, jako młoda adeptka makijażu w przeszłości), to mi zajmuje dziesięć minut dziennie. Łykam też różne suplementy, szczególnie ważna jest witamina D3, ale też inne witaminy, oleje, suszone jagody, preparaty ziołowe, antyoksydanty i tak dalej, no sporo tego jest, ale w większości w postaci naturalnej. Mam swoje rytuały pielęgnacyjne i bardzo je lubię. Codziennie ćwiczę (no powiedzmy staram się codziennie), dużo chodzę. Te zabiegi i ćwiczenia oczywiście nie wchodzi w grę w podróży, czas jest zbyt napięty, wtedy włączam plan B, czyli minimum kosmetyków, suplementy tylko na przetrwanie (jakiś wieloskładnikowy preparat). Generalnie staram się dobrze odżywiać, ale muszę jeść mało, bo mam skłonność do tycia i siłą rzeczy z samym pokarmem nie dostarczę odpowiedniej ilości składników. Niech dla niedowiarków będzie to efekt placebo, wszystko jedno, ważne, że jestem silna i zdrowa, wyniki badań mam świetne, ja sama uważam, że jestem w lepszej formie niż na przykład dziesięć lat temu. Popierają mnie zaprzyjaźniona farmaceutka, która mówi, że aby uzyskać dobroczynne efekty z samej diety, musiałybyśmy niektóre pokarmy jeść na kilogramy, no i przyjaciółka Alicja, która się suplementuje identycznie jak ja, pozostali uważają nas, delikatnie mówiąc, za dziwaczki.

III

Znalazłam, jest druga skarpetka, to dobry znak dla całej podróży! Jestem przesądna, ale wierzę tylko w pozytywne znaki. Uważam, że wszechświat daje nam to, o czym myślimy, wierzę w samospełniające się przepowiednie, nasze strachy i lęki mają dużą szansę się urzeczywistnić, bo niejako nieświadomie sami postępujemy w taki sposób, żeby przepowiednia, sytuacja, której się obawiamy się spełniła. W moim życiu jest tak, że przykrości, niedobre dla mnie sprawy przychodzą zwykle nie z tej strony, z której się spodziewam, więc szkoda energii na zamartwianie się. Życie w zgodzie z wszechświatem to mój cel, gorzej z realizacją, bo mnie też, jak wszystkich, dopadają chwile zwątpienia.

Dzwonek telefonu, no nareszcie odzywa się Maria, którą najpewniej zżera ciekawość, co działo się wczoraj po kolacji, bo nie poszła z nami do klubu. Zgrabna, szczupła, wysoka brunetka, bardzo atrakcyjna, jest mi bardzo bliska, zawsze mogę liczyć na jej wsparcie. Pracujemy w tej samej firmie od kilkunastu lat, razem przechodziłyśmy przez kłopoty małżeńskie i nasze rozwody. Maria też samotnie wychowuje dziecko, syna, którego temperament dostarczał jej niemało „atrakcji” ale teraz, gdy trochę wydorósł, nie ma z nim większych problemów, no

może poza nauką, którą Łukasz traktuje, według Marii, zbyt luzacko. W przeciwieństwie do mnie Maria nie szuka nowego związku, uważając wszystkich mężczyzn za niedojrzałych, a z wiekiem coraz bardziej marudnych.

- No, cześć, jak tam wczoraj, dobrze się bawiliście?

Bo ten Carlos wart grzechu...

- Wart czy nie wart, ja i tak wyjeżdżam, więc sprawa jasna, ale nie powiem, zabawa była super i szkoda mi tej potencjalnej okazji na romans. Ale dość już o tym, ciągle zapominam ci powiedzieć jak pięknie się wpasowała na parapiecie ta szkatułka urodzinowa od ciebie. No po prostu teraz stworzył się komplet, chociaż każdy z tych trzech przedmiotów jest prezentem od innej osoby.

- Dzięki, cieszę się, że ci się podoba, to był całkowicie intuicyjny zakup. Weszłam do sklepu, podeszłam prosto do tej szkatułki i poprosiłam o zapakowanie, no i jak tu nie wierzyć w czary!?

- I czary, dobry gust i dobrą znajomość mojego gustu.

Roześmiałyśmy się obie.

- A tak na serio, myślisz jeszcze o prawdziwej miłości, nie romansie, nie przyjaźni, ale prawdziwej namiętnej miłości?

- Ale mi jest dobrze tak jak jest! Mam rodzinę, córkę, was, moje czarownice, przyjaciela eksa, opiekunkę Alicję, a nade wszystko moją ukochaną niezależność. No nie, to niezupełnie tak czasem nawet mi zdarzają się marzenia... No, ale dosyć marzeń, rzeczywistość woła, jeśli nie chcę się spóźnić, muszę wracać do pakowania, ściskam cię serdecznie, będziemy w kontakcie, pa...

Czarownice, ale białej magii, to ja i moje trzy przyjaciółki, tworzymy czteroosobowy krąg siostrzanej samopomocy. Jest Maria, Iza, z którą razem mieszkałam w akademiku i to związało nas na zawsze oraz Kasia, którą poznałam dzięki mojej niedawno zmarłej przyjaciółce Zosi. Jesteśmy różne, mamy różne sytuacje rodzinne (Iza i Kasia żyją w udanych związkach małżeńskich), ale też podobne problemy, począwszy od sposobu jak przeciwstawiać się napierającemu zewsząd patriariatowi po wychowanie dzieci, jak radzić sobie z partnerami, a jak z dalszą rodziną, zarówno w zdrowiu i w chorobie, w dobrej i złej doli, jak poradzić sobie w pracy. Nie zapominamy też o tak ważnych sprawach jak poszukiwanie sposobu na schudnięcie (temat nie dotyczy Marii, która jest żywym wyrzutem sumienia, że właściwa dieta i ruch to jedyna odpowiedź, no i dobre geny oczywiście, nie damy sobie powiedzieć), oraz jak dbać o siebie, jak nastawić się wobec najnowszych wydarzeń, od politycznych do towarzyskich, i modowych ogólnie mówiąc, jak nie zwariować w tym wciąż przyspieszającym świecie.

Z najbliższych mam jeszcze Alicję, która jest pod wieloma względami do mnie podobna, starsza o kilka lat, ale też nie odpuszcza, bardzo dba o swój wizerunek. Wymieniamy się nowinkami z zakresu mody (jest namiętą poszukiwaczką perełek modowych w Internecie i odważnie wypróbowała je na

sobie, zwłaszcza buty), medycyny estetycznej, suplementów, bo ona też jest uzależniona od suplementów i co najważniejsze - odchudzania, bo Alicja nie może, podobnie do mnie, ustalić wagi na jednym poziomie, wciąż to tyjemy, to chudniemy i mamy trzy rodzaje ciuchów: tak zwane over size, w które zawsze się mieścimy i dwie grupy pasujące okresowo - to na szczuplejszą, to na grubszą sylwetkę. Alicja ma więcej na sumieniu: w przeciwieństwie do mnie nie ćwiczy i popala papierosy (fakt, tylko wieczorem i maksymalnie pięć). Jest niska, lekko puszysta jak to się mówi, ale tego tak nie widać, bo zawsze nosi podwyższające buty i wysmuklające sylwetkę ubrania. Ma jasne niebieskozielone oczy i przeważnie brązowe włosy, cecha charakterystyczna - zawsze perfekcyjny makijaż. Jest typowym kanapowcem, podobnie jak jej kot o imieniu Hrabina (idealnie dobrane imię - ta gracia, ta powściągliwość, a przede wszystkim ta ogromna puszysta postura o biało-rudym umaszczeniu, no królowa, nie tylko hrabina), lubi czytać, uczyć się angielskiego przez Internet i ogólnie dużo siedzi w sieci, czasem fundują sobie z mężem objazdową wycieczkę i wracają wymęczeni z powrotem do kanapowego życia. Alicja nie ma dzieci (z wyboru), ale kota jej zazdroszczę, zawsze chciałam mieć kota, co przy moim trybie życia jest niemożliwe. Hrabina jest niemożliwie otyła, ale nie popuści póki nie dostanie wystarczającej według niej ilości karmy, więc wszelkie próby odchudzenia jej kończą się fiaskiem, choć Alicja i jej mąż wciąż próbują. Alicja i tak ją trochę odchudziła, bo hrabiny los był nieszczęśliwy, przez około trzy lata życia była ukochaną jedynaczką starszej pani i musiała wtedy dostawać słodczy, bo do dzisiaj zapach słodczy, a szczególnie lodów, działa na nią pobudzająco. Gdy pani zmarła, dzieci zlikwidowały mieszkanie, a Hrabina wylądowała na ulicy. Była zima, udało jej się przetrwać dzięki dobroci różnych ludzi około trzech miesięcy, a potem pojawił się Anioł. Dobra dusza, która pomogła już niejednemu wyrzucenemu z domu kotu, zajęła się nią, odchuchała i ogłosiła do adopcji. Kotka urodziła się w tym samym mieście, co Alicja więc uznała, to za znak i po przejściu wszystkich formalności zaadoptowała kicię. Na początku Hrabina dość nieśmiała z czasem objęła swoim władaniem cały dom. Szczególna więź połączyła ją z Mariuszem, mężem Alicji, po prostu widać po nich, że się uwielbiają. Mariusz cierpi na chorobę afektywną dwubiegunową (to u niego rodzinne), co objawia się nastrojem euforii na zmianę z depresją, okresy normy są, ale nigdy nie wiadomo, co dany dzień przyniesie. Pomimo to nie znam drugiej tak kochającej się pary jak Mariusz i Alicja, mimo choroby starają się być szczęśliwi i to im się udaje.

Mój były mąż też jest chory na nawracające depresje i to było głównym powodem naszego rozstania. Gdyby nie było Marty, na pewno bylibyśmy do dzisiaj razem, ale trzeba było chronić dziecko. Krzysztof zresztą teraz jest w lepszej formie, studiuje filozofię, kabałę, chodzi na siłownię, prowadzi spokojny tryb życia, czasem się gdzieś razem wybierzemy, dzwoniemy do siebie, z Martą też

ma bliski kontakt, życzę mu jak najlepiej.

IV

Dwa stroje kąpielowe tak, ale wezmę chyba tylko plażowe spodnie bez pareo, a może jednak i to i to, spodnie po zwinięciu wielkości skarpetki. Teraz częściej wspominam Zosię, chyba dlatego, że w ostatnim czasie na czerniaka umarło kilka znanych mi osób, ale nie tylko dlatego. Jej nie da się zapomnieć, była jedyna w swoim rodzaju. Poznałyśmy się przez przypadek – zamieszkałyśmy w nowym bloku drzwi naprzeciwko drzwi. Zosia, jako osoba bardzo kontaktowa, choć sporo ode mnie starsza, nawiązała błyskawicznie bliskie więzi. Była pełna wigoru, bardzo towarzyska, potrafiła cieszyć się życiem, choć nie dało jej ono upragnionego dziecka. Samotne życie wśród tylu przyjaciół z różnych środowisk całkiem jej odpowiadało (byli również mężczyźni, ale raczej romanse niż miłości). Właściwie, jak tak sięgam pamięcią, często chorowała, ale nie usłyszałaś od niej biadolenia, użalania się nad losem. Wiadomość o przedwczesnym końcu, po pierwszej rozpaczy, też potrafiła zaakceptować i znieść z pogodą ducha. Taki przykład; ze względu na to, że nie wychodziła zbyt często z domu (po operacji wycięcia przerzutu raka z mózgu) kupiła sobie na raty super telewizor z ogromnym ekranem (jakiś z wyższej półki), bo bardzo lubiła modę i na okrągło oglądała FTV. Przychodzę, ona prezentuje mi nowy nabytek, zaśmiewa się w głos i mówi „sprzedali na raty, a przecież ja nie dożyję końca spłacania, ale to już nie będzie mój problem”. Była bezpruderyjna i odważna w poglądach. Słynne były jej powiedzonka, na przykład „uwaga, uwaga, rozbieramy się do naga” albo „niech się wstydzi ten, kto widzi” a na pytanie jaka jest jej recepta na tak dobrą formę, odpowiadała: ”trzy razy s: spacer, sen, seks”. Koleżanki dużo starsze wprawiała w osłupienie, a my miałyśmy ubaw. Wyglądała rzeczywiście młodo, była starsza ode mnie o osiem lat, ale spokojnie mogła podawać się za moją rówieśniczkę. Nie stosowała medycyny estetycznej, od czasu do czasu kosmetyczka, dobre kremy i dobre geny. No cóż, prawda jest taka, że dobre geny to podstawa. Nie uchroniły jej jednak te dobre geny przed przedwczesną śmiercią. Zosia miała krągłe, zgrabne ciało, które lubiła eksponować na plaży (także nago, a kto wtedy słyszał o filtrach przeciwsłonecznych), co przy jej typie urody (jasna blondynka) było bardzo ryzykowne i skończyło się śmiertelnym czerniakiem.

Zośka miała artystyczną duszę, potrafiła zachwycać się pięknem świata, przyrody, przedmiotów, zwierząt, ludzi, a wykonywała prozaiczny zawód dermatologa (ale w medycynie estetycznej wycucie proporcji, koloru, kształtu też jest ważne).

Obracała się w kręgach artystycznych, ja też dzięki niej czasami bywałam na

wernisażach i innych imprezach. Razem chodziłyśmy do kawiarni artystów i do klubów. Wyjeżdżałyśmy też wspólnie na wycieczki (Bułgaria, Syberia tak, tak byłyśmy tam któregoś lata i nawet dostałyśmy dyplomy, świadczące o naszym przekroczeniu koła polarnego), miło powspominać, bo chociaż było siermiężnie, to przecież moja młodość. Potem nasze kontakty uległy rozluźnieniu, ja wyszłam za mąż, wyprowadziłam się z tamtego mieszkania, zresztą Zosia też. Siłą rzeczy mniej intensywny, ale kontakt cały czas utrzymywałyśmy. Kilka tygodni się nie kontaktowałyśmy, aż tu nagle telefon.

- Kinga, mam czerniaka, to, co teraz wykryte, to już przerzut.

- Ale, jak to bez zmiany pierwotnej, czy to na pewno czerniak?

Nie znalazłam słów odpowiednich do sytuacji, umówiłyśmy się, że wpadnę to pogadamy. Od tamtego momentu starałam się nadrobić stracony czas, często byłam u niej, często gdzieś wychodziłyśmy. Jeździliśmy (z Krzysztofem też byli sobie bliscy) zabierać ją ze szpitala w Warszawie, a raz po drodze samochód stanął i do Olsztyna dojechaliśmy dzięki pomocy drogowej. Były też inne osoby, które w codziennym życiu bardzo jej pomagały, ale były też takie, które znikły, tylko raz się na to mnie poskarżyła, o jednej z koleżanek znanej nam obu blisko powiedziała „wydawało się, że taka przyjaciółka, a zobacz w ogóle się nie pokazuje”.

Gdy była już słaba i przeniosła się do domu mamy w odległej miejscowości mazurskiej, odwiedziliśmy ją jeszcze dwa razy. Miała znakomitą opiekę mamy i sióstr w hospicjum domowym. Zostawiła mi na pożegnanie radę, rzuconą od tak mimochodem, a której staram się na co dzień przestrzegać: „Pamiętaj, ja też nie planowałam tak krótkiego życia, nie zostawiaj niczego na później”. Ja nie uznaję chodzenia na cmentarz, zmarły, który był mi bliski za życia, ciągle gdzieś się w tym życiu przewija, a to spojrzę na dziadka z wnuczką i już widzę mojego, pokaz mody w Internecie przypomina mi Zosię, tak jest ze wszystkimi zmarłymi, których znałam, wychodzą co jakiś czas z zakamarków pamięci.

Najcenniejszym spadkiem po Zosi jest Kasia, moja zaprzyjaźniona dermatolożka i towarzyszka. Jest wysoką ciemną blondynką, energiczna, aktywna, także fizycznie (siłownia domowa z bieżnią, rowery w sezonie, narty w kolejnym sezonie), dalekie podróże, prowadzenie własnej firmy, ogarnianie licznych rodzinnych perturbacji. Jest kilka lat starsza, ale wielokrotnie bardziej sprawna fizycznie. Wygląda rewelacyjnie, ale ma zupełnie nieuzasadniony kompleks nadmiernej tuszy. Z mężem się dobrali świetnie, nawet kłócić się potrafią świetnie. Jest jednak jedno ale. Kasia całe dorosłe życie miała za idealny taki model rodziny, jaki sama wyniosła z domu i jaki powtórzyła w swoim życiu. Zatem nic dziwnego, że chciała, aby dzieci go powtórzyły. Ale czasy się zmieniają i tego uczą nas nasze dzieci. Najpierw młodsza latorośl nie mogła jakoś przejść trzeciego roku (sytuacja już jest na dobrej drodze), potem prawdziwy grom z jasnego nieba, starsza córka

oświadczyła, że bierze urlop i jedzie do Indonezji (co oni tam w Warszawie mają do Indonezji, najpierw moja, teraz ta). Kasia znów „na skraju wyczerpania nerwowego”, ale ma takie poczucie humoru, że z siebie żartuje „no ile można jechać na Hydroxyzynie?”

Iza na to, że ona, doświadczona lekomanka (bierze na stałe leki antyalergiczne) może ją zapewnić, że długo, tylko leki trzeba zmieniać. Iza, która dużo wyższa ode mnie otoczyła mnie ramieniem, po awanturze o dodatkowe łóżko w ich pokoju, stwierdza: „nie martw się młoda, damy radę”. W przenośni, do dzisiaj mnie tym ramieniem otacza. Jest taka, jak ja zawsze chciałam być, czyli wysoka, o długich, smukłych dłoniach, arystokratycznie ustawionej głowie, na pięknej, smukłej szyi, blond włosach, pełnych ustach. Jednak według mnie popełnia grzech, bo tych wszystkich atutów nie eksponuje, owijając się szalami i chustami, bez makijażu. Jest po ekonomii i wybrała karierę urzędniczą, co bardzo do niej pasuje. Jako osoba zorganizowana, poukładana, sumienna i asertywna, pracuje bardzo dobrze i tak, że nikomu nie pozwala w swoje sprawy ingerować, jeśli wie, że są słuszne (a zawsze są). Świetnie się odnajduje w dużych skupiskach ludzkich (mam na myśli nasiadówki, konferencje, kursy i tym podobne), jak i w rozmowie z pojedynczym człowiekiem, interesantem potrzebującym pomocy. Ona też dobrała się z mężem idealnie, a ich jedyny kłopot z dzieckiem jest taki, że może on za cichy, za spokojny, bez zacięcia do walki w życiu. No, jednym słowem ta zaleta jest być może jego jedyną wadą. Dziewczyny mówią o dzieciach niewiele, żeby nie naruszyć ich prywatności, ot parę nowinek i tyle.

Rytuał spotkania jest taki, że jedna z nas (ta, co ma akurat wolną chatę) przygotowuje coś do jedzenia (Izy nie przeskoczmy, robi cacuszka kulinarne), właściwie wszystkie oprócz mnie mają własne specjalności. Ja się staram, ale gdzie mi tam do nich. Każda przynosi butelkę wina, a po kolacji zapodajemy herbatkę, żeby trzeźwym wrócić do domu.

V

Buty są najważniejsze. Jak napisała Julia: „nie da się wyglądać godnie, jeśli w stopy niewygodnie”. Obowiązkowo na podwyższającej platformie, nawet adidas mam na platformie, ale takie, że można spokojnie zaginać cały dzień, szpilki nie wchodzi w rachubę. Mam kilka par szpilek, ale rzadko je zakładam, mam też sporo butów na różnego rodzaju platformach, od stylowych i eleganckich w swej prostocie, po mocno ekstrawaganckie, jak na przykład ostatnio zakupione kozaki nad kolano (zamki, lateks, wysoka platforma, większość z moich koleżanek, oprócz Alicji, nigdy by takich nie założyła). Cóż, jak każda kobieta uwielbiam buty. Na wyjazdy mam wypróbowany, stały skład, tu nie muszę się zastanawiać,

układam je starannie na dole walizki. Tak, moje czarownice są super. Ponad dwa tygodnie temu, w wieczór Kupały, dokładnie 23 czerwca, czyli w starosłowiańskie letnie przesilenie, odbyły się szczególne mamroty, skończyłam magiczne czterdzieści cztery lata. Z tej okazji zaprosiłam koleżanki do restauracji (która okazała się bezalkoholowa i toast piłyśmy nie szampanem a cydrem), dostałam od nich wspaniałe prezenty i wzruszające życzenia (rodzina, Krzysztof i Alicja też pamiętali). Alicja postawiła nawet tarota, ale przepowiedni nie chciała ujawnić, powiedziała tylko, że czeka mnie duża zmiana, uznałam, że to musi być wyjątkowy rok, a ja muszę się postarać, żeby tak właśnie było.

No, nareszcie, zostały tylko rzeczy, które włożę w ostatniej chwili, jak przybory toaletowe i kosmetyki. Najwyższy czas, już późno, a rano trzeba będzie odpalić wysłużonego swifta i w drogę.

Można powiedzieć o mnie wiele rzeczy, ale na pewno nie to, że jestem dobrym kierowcą. Co jakiś czas mam jakieś przygody, o jakiś słup obetrę albo ktoś we mnie wiedzie tak, że moje biedne suzuki jest wielokrotnie naprawiane, ale ponieważ mam dobrego lakiernika, dobrze się trzyma, jak na swoje lata, nie psuje się prawie wcale i mogę na nim polegać (on biedaczek na mnie niekoniecznie). Droga do Warszawy momentami super, momentami fatalna, pocieszają nas doniesienia, że już niedługo pojedziemy do stolicy dwupasmówką, ale to melodia przyszłości, na razie jest jak jest i podróż jest długa i wyboista. Czartery zwykle latają późno wieczorem albo wcześniej rano, tym razem wyruszam o trzeciej nad ranem.

Październik 2015

I

Jak zawsze zleciało błyskawicznie, stała dyspozycyjność, zarwane noce, ale w gruncie rzeczy przyjemna praca. No, chyba że ci się trafi banda troli, u mnie niezwykle rzadko. Każda wycieczka składa się w gruncie rzeczy z tych samych typów ludzkich, tylko w różnych proporcjach. Jest żwawa grupa 60+, której kondycji nikt nie dorówna, mniej lub bardziej liczna grupa amatorów napojów wysokowych (w ostatnich latach ta grupa ma tendencję zniżkującą), są też osoby zaopatrzone w przewodniki, które tracą czas na znalezienie właśnie tego ważnego, bo opisanego w przewodniku obiektu. Przeciwnieństwo tej grupy stanowi garstka kilku osób, która z kolei zapisuje w zeszytiku każde moje i przewodnika słowo. Osobno trzymają się rodziny z małymi dziećmi, heroicznie łączące opiekę nad

dziećmi z wrażeniami na zewnątrz. Zwykle jest kilka osób podróżujących pojedynczo i tu różnie, niektóre się integrują z resztą towarzystwa, inne strzegą swojej samotności. Trzon grupy stanowią pary, najczęściej mieszane, sporo dwójek żeńskich, znikoma ilość par męskich, gejowska zdarzyła mi się raz (bardziej chyba powinnam powiedzieć jawnie gejowska, bo ukrywająca preferencje mogła być wielokrotnie). Panowie ubrani raczej na luzie, często nawet za bardzo. Panie różnie, od typowych harcerek, poprzez stylizacje mało turystyczne, ale wygodne (jedna pani miała na głowie kapelusz z jakiegoś puchatego tworzywa, płaszcz z urwanym guzikiem, wiecznie przemakające tenisówki, ale nie przejmowała się tym, a swoją pogodą ducha i serdecznym usposobieniem wywoływała u wszystkich sympatię), przez zadbane, ale bez przesady, ubrane adekwatnie do sytuacji, niby na luzie, jednak w widoczny sposób był to kontrolowany luz, aż po damy (to nie jest ironia), panie w pełnym makijażu, wystylizowane codziennie inaczej, bardzo kobiece, darzone przeze mnie osobiście wielkim podziwem, bo trzeba być prawdziwą damą, żeby w tak niesprzyjających warunkach tak wyglądać. Z przykrością muszę stwierdzić, że w prawie każdej grupie trafiał się też buchalter, który kwestionował wysokość płaconych obligatoryjnie przez każdego uczestnika opłat za wstępy, napiwki itp., niepotrzebnie psując tym samym atmosferę, bo wcześniej się na taką dopłatę zdecydował, podpisując warunki uczestnictwa, prawda? Ooo, wiele jeszcze mogłabym mówić o ludziach połączonych ze mną na te kilka tygodni. Ot, choćby cham, który za nic ma innych (gatunek na szczęście na wymarciu na wycieczkach, klimat wakacyjny tak ludzi nastraja, że nie są to sprzyjające warunki do chamskich zachowań), nieustający dowcipniś, opowiadający mało śmieszne dowcipy, podrywacze, żeby nie wyjść z wprawy, podrywający różne panie, na czele z pilotką. To oni przeważnie chcą wydusić tajemnicę wieku pilotki, bo coś tu nie gra: mówi, że jeździ tutaj od wielu lat, co się przez te lata zmieniło i tak dalej, czyli nie taka młoda, jak wygląda. W końcu ktoś zawsze zapyta ile też latek liczy sobie pani Kinga. I w tym roku miałam okazję odpowiedzieć cytatem „A imię jego?” i zawsze znalazł się ktoś, pamiętający lektury szkolne, kto dopowiadał „40 i 4”. No z całą pewnością na brak pytań nie mogę nigdy narzekać i muszę być cierpliwa. Na przykład na dziesiąte pytanie ile czasu jeszcze do przystanku, do zbiórki, gdzie teraz jedziemy, czy w poprzednim hotelu nie znalazł się taki niebieski sweterek i tak dalej i tak dalej. Nawiasem mówiąc turyści potrafią zostawić prawie wszystko, od bielizny, przez ubrania, po biżuterię i sprzęt elektroniczny. Czasami uda się coś odzyskać, ale rzadko, słyszałam raz od koleżanki, że pewna panna młoda zostawiła w hotelu pierścienek zaręczynowy, odnalezienie prawie bez szans, ale całe szczęście nocowali w tym hotelu w drodze powrotnej, dostali ten sam pokój, szukali i znaleźli wbity za łóżkiem w częściowo odklejony rąbek wykładziny. Ja swoich turystów ostrzegam, że cuda się może i zdarzają, ale bardzo, bardzo rzadko.

II

Wczoraj pożegnałam serdecznie moich wycieczkowiczów. Te dwa miesiące minęły jak chwila. Wydaje mi się, że to było wczoraj, jak wypowiadałam pierwsze w tym sezonie sakramentalne: „Dzień dobry państwu, nazywam się Kinga Kalinowska i będę państwa pilotką na tej wycieczce”. Moje obolałe ciało i głowa wskazywały jednak wyraźnie, że pracowałam ile sił przez dłuższy czas. Już wybiega z domu Maria, obściskujemy się serdecznie, to bardzo ciepły człowiek. Ale nie daje mi odpocząć ani chwili, bo spieszy do swojej rodziny, prezentuje zawartość lodówki i spiżarni, pomaga umieścić bagaże na ostatnim piętrze, w gościnnej sypialni, instrukcja obsługi alarmu, a resztę przecież znasz Kinga, przyjdę za dwa dni ogarnąć dom i uzupełnić zapasy żywności i... już jej nie ma. Wolno obchodzę znane mi doskonale domostwo, zajrzałam do lodówki, gdzie Maria przygotowała oprócz zakupów ze sklepu, własnoręcznie przygotowane przez siebie potrawy (bo wszystko można o mnie powiedzieć, ale nie to, że jestem zapaloną kucharką). Jestem zbyt zmęczona, żeby położyć się spać, a co dopiero rozpakować walizkę. Walizka zresztą będzie rozpakowywana przez kilka dni, nie jestem typem harcerki i moje rzeczy wyjmowane, odświeżane i prane będą bez zbytecznego pośpiechu. Teraz upajam się ciszą i spokojem tego miejsca, jest to niewielka willa, położona dwie przecznice od nadmorskiej promenady, wystarczająco daleko, by nie było słyhać hałaśliwych turystów i wystarczająco blisko, żeby w dziesięć minut do nich dołączyć. Teraz po sezonie nie ma tłoku, już się cieszę na długi spacer wzdłuż morza. Pogoda cudowna, ciepło, lekki wiaterek, ale widać, że dni coraz krótsze, zbliża się zmrok. Daruję sobie spacer, już za późno, ale za to spróbuję połączyć się z Martą, bardzo za nią tęsknię od kiedy stała się dorosła, a teraz jeszcze ta odległość. Powysyłam też wiadomości do najbliższych. Daję sygnał na Skypa, może uda mi się złapać Martę, jest prawie szesnasta, czyli w Makasarze, gdzie teraz jest, dwudziesta trzecia, idealny czas na połączenie, tam życie kwitnie po upalnym dniu, zwykle o tej porze się spotykamy.

O, już jest.

- Jak tam córcia, jak zdrowie, mów szybciotko...

- Cześć kochanie, u mnie wszystko w porządku, zbieram się powoli do powrotu, a teraz wykorzystuję ostatnie dni na życie towarzyskie, więc nie miej do mnie żalu, jeśli przez parę dni się nie odezwę. Jestem z powrotem u mojej indonezyjskiej „rodziny” i chyba nie będę już wędrować, tak, że możesz być spokojna.

- Ja i spokojna o ciebie, to się nawzajem wyklucza, ale nic się nie martw, daję radę, jestem w Maladze, a za dwa tygodnie powrót do domu, do tego czasu

skontaktujemy się ze sobą nie raz, mam nadzieję.

- Na pewno, a teraz odpoczywaj buziaki i do zobaczenia.
- Do zobaczenia, kocham cię...

Nie da się ukryć, do najwylewniejszych moja córka nie należy, ale i tak jest wspaniała. Jeszcze trochę powysyłam e-maile, potem kąpiel i przed snem koniecznie spokojny, długi spacer.

III

Po dobrze przespanej nocy budzę się po dziewiątej, głodna jak wilk. Co też mamy do jedzenia? Wszystko, czego dusza zapagnie, pieczywo tylko do odmrożenia w mikrofalach, wędliny, prawdziwe masło, a na deser pyszne ciasto, niechybnie osobiste dzieło Marii i do tego aromatyczna kawa z mlekiem, pycha.

Z kubkiem kawy, zarzuciwszy tylko sweterek, wychodzę powitać dzień na słonecznym o tej porze, tarasie. To się nazywa życie, spokój, cisza, tylko ptaszki hałasują. Ale co to, to zupełnie inny hałas, czy mi się coś przyśniło, bo ten hałas brzmi jak głośne kocie miauknięcie!? Wychylam się za barierkę, a tam siedzi ogromny rudy kot i jęczy żałośnie. Od kiedy oni mają kota i czemu ja nic o tym nie wiem? Chwytam komórkę, Mirka odbiera po chwili.

- Cześć kochana, tak, spałam dobrze, ale ja tu mam problem, na waszym trawniku siedzi wielki, rudy kot i zawodzi niemożebnie, czy jest coś, o czym zapomniałaś mnie poinformować?

- Rudy, duży, mówisz, tak, to musi być Rufus, kot Jurka, on mu czasami ucieka, Jurek ma z tym wielki problem, opowiadałam ci przecież o Jurku, niedawno się wprowadził po sąsiedzku, jest Polakiem. Co? Nic nie mówiłam? Widocznie nie złożyło się, słuchaj, ja zaraz do Jurka zadzwonię, ucieszy się, że kot się znalazł. Pa.

- Ale zaraz, chwileczkę, ja nie jestem jeszcze ubrana...

Połączenie zostało zerwane, a ja wpadam w lekką panikę. A co, jeżeli Jurek był właśnie w domu i za chwilę się zjawi? Pędem biegnę na górę, zakładam jedyny czysty T-shirt, dżinsy, myję zęby i ledwo zdążam okiełznać włosy w nierówną kitkę, gdy słyszę dźwięk domofonu, o jakimkolwiek zadbanie, przynajmniej o twarz, nie mogło być mowy. Zbiegam schodami, naciskam przycisk odblokowujący drzwi i wychodzę przed dom przywitać gościa. Patrzę, jak idzie, przystojny, szpakowaty, niezbyt wysoki, opalony właściciel kota. Im bardziej się zbliża, tym bardziej wydaje mi się znajomy, tylko skąd? Rufus tymczasem skubie leniwie trawnik i niczym się nie przejmuje.

- Dzień dobry, nazywam się Jurek Baranowski. Mirka właśnie dzwoniła, że odnalazł się Rufus, bardzo Pani dziękuję za odnalezienie zguby.

- Kinga Kalinowska, miło mi pana poznać, właściwie zguba sama się odnalazła, bez mojego udziału.

Oboje się śmiejemy i w jego śmiechu również jest coś znajomego. Pewnie przypomina mi kogoś z wielu poznanych w przeszłości osób. On sam nie wygląda, jakby mnie rozpoznawał, więc na pewno jest po prostu do kogoś podobny.

- Miałem zamiar i tak zaprosić panią na powitalnego drinka, bardzo się ucieszyłem, że będzie gość z Polski, ja niezbyt często bywam w kraju, właściwie została mi dalsza rodzina i koledzy z dawnych lat, ale utrzymujemy dość sporadyczne kontakty.

- Będzie mi bardzo miło przyjąć to zaproszenie, rozumiem, że wieczór?

- Może być dwudziesta, przyjdę po panią.

- Tak, oczywiście, tylko dosyć już tej pani, proszę nazywaj mnie po prostu Kingą.

- Świetnie, to jesteście umówieni, do zobaczenia...

Odchodzi alejką z kotem na rękach, a w mojej głowie ponownie zapaliła się lampka ostrzegawcza, ja skądś znam tego faceta.

Nie muszę mówić, że z okazji randki biorę prawie wszystkie przywiezione ze sobą ciuchy, wyciągam kosmetyki, bo prawdziwa randka dawno mi się nie przytrafiła. Nie okłamuję samej siebie, i chociaż moje życie jest całkiem fajne, to jednak tęsknię za romantyczną miłością i wciąż podejmuję próby, by to marzenie ziszczyć. A Jurek spodobał mi się więcej niż bardzo. A w dodatku miał kota!

Całe popołudnie zastanawiam się co na siebie włożyć, wreszcie po wielu próbach dokonuję wyboru i przechodzę do make-upu i fryzury. Stawiam na minimalistyczny makijaż (w końcu widział mnie bez niego, a nie uciekł przerażony) i zaczesanie włosów do góry. O wpół do ósmej jestem gotowa. Wciąż nie mogę odgonić, niczym natrętnej muchy, myśli, skąd ja go znam?

Już jest, punktualnie, niesie piękne kwiaty, bukiet uroczy, ale bez przesadnej ostentacji i ruszamy w stronę promenady. Jurek mówi, że ma tu ulubiony bar i tam właśnie mnie zaprasza. Wystrój lokalu trochę mroczny, ale gustowny, a palące się świece stwarzają nastrojowy klimat, w tle cicha, spokojna muzyka.

Zamawiamy drinki i typowe hiszpańskie przekąski, ja stanowczo odmawiam kolacji, bo przystawka była wystarczająco sycąca, Jurek nie namawia usilnie, dzięki czemu ma u mnie kolejnego plusa. Rozmowa toczy się gładko, zaskakująco, jak na nowo poznanych ludzi. Oboje mamy po jednym dziecku, z tym, że Jurek ma syna, dawno temu rozpadły się nasze małżeństwa, lubimy podróżować, Jurek jest inżynierem i ma własną firmę, no i oboje kochamy koty. Wieczór mija jak jedna chwila, czas wracać do domu. Zatrzymujemy się przed furtką, Jurek delikatnie całuje mnie w rękę i w policzek (na Boga skąd ja znam tego faceta !?).

- To co, jutro po południu spacer promenadą?

- Jak najbardziej, pójdziemy aż na koniec, tam jest najfajniejsze morze.

Nie masz pojęcia Kinga, jak się cieszę, że cię poznałem, jesteś powiewem świeżości w moim zazwyczaj dość nudnym życiu. Czuję się z tobą tak swobodnie, jakby to nie było nasze pierwsze spotkanie.

- Kto wie, może już się spotkaliśmy w jakimś poprzednim wcieleniu, ty byłeś rasowym czarnym labradorem, a ja rasową Syjamką.

Wybuchnęliśmy śmiechem. Śmiech ma szczery i głośny, pewny siebie, zadowolony mężczyzna. Jestem nim oczarowana, mamy te same poglądy na życie, czytaliśmy te same książki, oglądaliśmy te same filmy. No i te oczy, ciemne, kontrastujące z pięknie posiwiałymi włosami. Nie śpię dobrze tej nocy, śnią mi się jakieś pokręcone historie i z ulgą witam poranek. O dziesiątej przychodzi Maria, plotkujemy trochę, a potem ona bierze się za sprzątanie, a ja idę po zakupy. Mam zamiar kupić miejscowe owoce, ale na stragan nie mogę liczyć w tej zamożnej dzielnicy. Całe szczęście, że w odległości dwudziestu minut piechotą jest market z całkiem przyzwoitym działem owocowo-warzywnym. Nie mogę przestać myśleć o Jurku, porządnie zawrócił mi w głowie, mimo że znam go dopiero od wczoraj (czyżbym miała nadzieję na romans?). Po powrocie ostateczne rozpakowanie walizki i szykowanie do randki. Na spacer ruszamy nadmorską promenadą, jemy zupę rybną w małej tawernie i gadamy, gadamy, a ja czuję się jak na rauszu.

- Krzysztof, mój eks, studiuje kabałę, wiesz coś na ten temat, bo jemu to bardzo dobrze robi.

- Za wiele nie wiem, tyle tylko, że poważnie traktowana jest to nauka bardzo interesująca, ale ja nie jestem jakoś specjalnie uduchowiony, wierzę, że kosmos działa dla nas dobrze, gdy nasze myśli są dobre i tego staram się trzymać.

- To podobnie jak ja, bo ja wierzę w karmę. Gdy uczynimy coś złego, zaburza to czasoprzestrzeń i nieuchronnie wraca do nas, ale mam też układ z wszechświatem, że gdy zbliżam się do zatłoczonego parkingu, momentalnie robi się dla mnie miejsce i to zawsze działa!

- Szkoda, ja nie mam takiego układu, ale pracuję nad tym, żeby i dla mnie wszechświat zrobił się łaskawy...

Wieczór zastał nas w drodze powrotnej i wtedy Jurek proponuje drinka u siebie, na co przystaję z ochotą. Mieszka w domu idealnym w moim guście, minimalizm w połączeniu z osobistymi pamiątkami, głównie z podróży (moje mieszkanie jest w podobnym stylu). W tle gra cicho muzyka z filmu „Cały ten zgiełk”, tanecznego hitu mojej młodości, a my opowiadamy sobie nawzajem koleje własnego losu. A jest co opowiadać, życiorysy mamy dość zagmatwane. Ja po wczesnym macierzyństwie musiałam dawać sobie radę sama, oczywiście bez pomocy rodziny byłoby to niemożliwe. Potem poznałam Krzysztofa, pobraliśmy się i przez pierwsze lata było naprawdę fajnie, był świetnym ojcem dla mojej córki, zresztą do dzisiaj jest, ale jego postępująca choroba zmusiła nas do rozstania, żeby świadkiem tych chorobowych stanów nie była nasza dziewczynka. Teraz po latach

Krzysztof zapanował nad swoim życiem dzięki kolosalnej pracy nad sobą i odpowiedniemu leczeniu, ale nasza miłość przekształciła się w przyjaźń i nie ma już powrotu do tego, co było. Po nim było kilka romansów, krótszych lub dłuższych relacji damsko-męskich, ale rozstawałam się bez żalu i uznałam, że wystarczająco lubię moje życie takie, jakie jest, żeby na siłę szukać partnerów. Co innego miłość, po cichu mam nadzieję, że jeszcze mi się przydarzy, ale nawet jeśli nie, to życie i tak jest piękne. Jurek miał za sobą mniej przyjemny rozwód, nie chce opowiadać o szczegółach, ale i tak widać, że nadal nie przerobił tej traumy. Oboje zgodnie stwierdzamy, że za to dzieci mamy cudowne, ja chwale się moją mądrą i samodzielną córką, a on swoim wysportowanym, aczkolwiek trochę nieśmiałym synem, studentem politechniki. Po udanym wieczorze u niego, w drodze do mojej willi zachodzimy jeszcze na owoce morza w znanej nam obojgu restauracji. Kładę się spać zadurzona po uszy z mocnym postanowieniem na romansowe rozwinięcie znajomości.

Kolejny dzień równie słoneczny, co poprzednie, z Jurkiem jestem umówiona na wieczór, bo cały dzień musi spędzić w firmie, ja zaś robię to, co lubię, czytam książkę, idę na daleką wędrowkę wzdłuż plaży, a po południu spotykam się na Skypie z Marią, muszę się komuś zwierzyć. Maria jako niezawodna przyjaciółka mówi wprost.

- Kinga, chwytaj okazję, jak ci się trafia, wakacyjny romans - w takiej jak twoja sytuacji z kimś nieanonimowym, dobrym znajomym wspólnych znajomych, więc ryzyko trafienia na świra minimalne - ma same plusy, nie będzie fazy zmęczenia sobą, bo ty wrócisz do domu, a miłe wspomnienia pozostaną.

- Miód na moje serce lejesz Majeczko, właśnie takiej rady potrzebowałam. Na plus dodam, że kocha taniec i kota, ale co słyhać w Olsztynie, jak tam inwestycja tramwajowa?

- Nic nie mów, koszmar, jeżdżenie po mieście przypomina przedostawanie się przez linię frontu, a jedyne pocieszenie, że zapowiadają rychłe zakończenie, ale powiem ci wspaniałą wiadomość. Otóż wzięliśmy ze schroniska psa, młody już z nim bryka, ale mam zamiar wziąć kilka lekcji psiego posłuszeństwa, żeby był radością, a nie ciężarem, naprawdę bardzo się cieszę.

- To faktycznie wspaniała wiadomość, cieszę się razem z tobą.

Dalej rozmawiamy o tym i owym, aż robi się późno i muszę się przygotować na wieczorne tańce. Nagle opada mnie zwątpienie, a może ja się mu tak bardzo nie podobam, widzi we mnie fajnego kompana, a nie kobietę, dzisiejszy dzień zdecyduje przyjaźń czy kochanie.

No i co? No i nic z tego! Jurek zachowuje się jakby był mną zainteresowany, flirtujemy na całego, przytulanki w tańcu, miłe słowa.

- Jacy mężczyźni mają u ciebie szansę ?

- A jakie kobiety u ciebie ?

- O nie, ja zapytałem pierwszy.
- Dobrze, więc muszą być pewni siebie, ale nie pyszałkowaci, inteligentni i dowcipni, o szerokich horyzontach, ale przede wszystkim muszą mieć dobre, współczujące serce, być empatyczni, samce alfa wykluczone, teraz ty.
- Wiem, że nie powinienem się do tego przyznawać, ale muszą być piękne i pewne siebie, z równie pięknym wnętrzem, poczuciem humoru koniecznie, resztę da się dopracować.

Roześmialiśmy się i dalsza konwersacja potoczyła się w podobnie lekkim tonie.

Następne dni to romantyczne kolacje i spacerzy w blasku zachodzącego słońca, zwierzenia i poważne rozmowy o życiu, ale generalnie po prostu cieszymy się sobą, śmiejemy się jak dzieci, mamy podobne poczucie humoru. Rozpiera mnie radość istnienia, tu i teraz u boku tego mężczyzny, nie myślę ani o tym, co było i nie obchodzi mnie, co będzie. W takim nastroju pobyt mija szybko, w końcu zbliża się rozstanie, a my posunęliśmy się raptem do jednego namiętnego pocałunku. I nawet mi się to podoba, to jest jak powrót do niewinności pierwszych młodzieńczych oczarowań (młodzieńczych, zaraz, zaraz jakaś lampka się zaświeciła, ale niestety zgasła). Ostatni mój wieczór w Maladze, jestem spakowana, Maria przychodzi i żegnamy się serdecznie, przekazuję jej klucze, wychodząc mam tylko zatrzaskać drzwi. Nie mam zamiaru spać tej nocy, o piątej rano mój samolot odlatuje do Polski. Muszę wyruszyć o pierwszej w nocy, żeby zdążyć na czas, taksówka jest zamówiona, a ja idę na ostatnie spotkanie z Jurkiem. Umówiliśmy się u niego w domu, ten wieczór chcieliśmy spędzić tylko we dwoje, obiecaliśmy sobie już wcześniej, że postaramy się utrzymać kontakt, a kto wie, może kiedyś w przyszłości jeszcze się spotkać. Odnoszę wrażenie, że obydwójce zaangażowaliśmy się uczuciowo i chciałabym, żeby to, co jest między nami miało jakiś dalszy ciąg.

Już od progu zaczyna obsypywać mnie pocałunkami. Gdzie się podział Jurek dżentelmen? Obydwójce tego chcemy, nie wzbraniam się, a wręcz przeciwnie, bierze mnie na ręce i zanosz do sypialni (trzeba przyznać - silny facet). To jest kosmiczne przeżycie, kochamy się, odpowiadając nawzajem oczekiwaniom drugiej strony, jego ręce, usta, język, cichy szept, wszystko jest tak, jakbym czekała na to całe życie. Jakaś nieznana nawet mi część mojej osobowości bierze mnie we władanie, cała zatapiam się w tym doznaniu, moje ciało, długo uśpione, odnajduje drogę do rozkoszy. Potem leżymy spleceni, ja z głową na jego ramieniu, on delikatnie gładzi moje włosy.

- Chciałabym, żeby ta chwila trwała wiecznie, jesteś cudowna, ale muszę ci włączyć jedną piosenkę - mruczy mi do ucha.
- Nie, nie odchodź, tak jest dobrze – przeciągam się leniwie.
- Zaraz wracam – wkłada mi pod głowę poduszkę

i muska wargami policzek.

Włącza odtwarzacz i w pokoju rozlega się „Nothing compares to you” Sinead O`Connor. I w tym momencie doznałam olśnienia!

Czerwiec 1990

Ta historia nie mogłaby się wydarzyć dzisiaj, w dobie telefonów komórkowych, Internetu i tym podobnych. Wtedy pewnie wydarzyło się wiele podobnych.

Gdańsk, po pierwszym roku studiów, czerwiec był słoneczny i upalny. Koniec sesji zbiegł się z moimi urodzinami, akademik pulsuje, w prawie wszystkich pokojach głośnie impreza, oczywiście w naszym też. Balowaliśmy w słusznym poczuciu, że należy nam się to po roku intensywnej pracy. Brat koleżanki z pokoju miał przyprowadzić kolegów z politechniki, bo u nas na filologii deficyt płci męskiej, a tańczy się przecież w parach, z figurami. Przyszli w trójkę, spojrzałam w oczy długowłosego bruneta i poczułam, jak w żołądku stado motyli wzbiło się do lotu. Od tej chwili na imprezie byliśmy tylko my dwoje, tańczyliśmy i próbowaliśmy rozmawiać, ale było to niemożliwe w tym harmidrze.

Pozostawało nam jedno, wyruszyć na spacer. Naokoło nas z różnych okien leciał przebój Sinead O`Connor „Nothing compares to you”, a my gadaliśmy o wszystkim, jakbyśmy byli od lat najlepszymi przyjaciółmi. Okazało się, że lubimy te same filmy i książki, a już kiedy przyznał, że lubi taniec we wszystkich jego formach zapunktował u mnie do kwadratu, bo nie dość, że lubi, to jeszcze się do tego przyznaje. Po godzinie spacerowania zalegliśmy na trawie, nie chciało nam się wracać.

- Piękne te gwiazdy, i pomyśleć, że te same gwiazdy widzą ludzie w lepszym świecie, a ten świat jest od nas tak daleko, jak te gwiazdy.

- Co ty mówisz Jurek, przecież komuna upadła, niedługo świat stanie przed nami otworem.

- Nie jestem tego taki pewien, może i świat stanie otworem, ale długo jeszcze nie będzie nas stać na życie choćby na poziomie najbiedniejszego zachodniego państwa, a ja marzę o podróżach.

- Ja też chciałabym podróżować, ale jednak zawsze wracać do Polski, gdzie w pół słowa ludzie cię rozumieją, gdy wszyscy jesteśmy po doświadczeniach historii komunizmu, no wiesz i to nas jakoś wiąże ze sobą.

- Mam nadzieję na świat, w którym nie będzie podziału na kraje postsowieckie i pozostałe, ale to melodia dalekiej przyszłości, nie wiem, czy tego dożyjemy.

- Dożyjemy, dożyjemy, tylko nie tak prędko. Ja cieszę się z tego, co jest teraz, myślałam, że urodziłam się w komunie i w komunie umrę. Dla mnie na razie to życie tu i teraz jest najważniejsze, leżymy sobie, patrzymy w gwiazdy w świętojańską noc i mamy siebie na ten wieczór.

- Mam nadzieję, że nie tylko na ten...

Rozmowa przeszła w końcu w czułe słówka i zaczęliśmy się całować. Niedane nam było robić to zbyt długo, z akademika wylewali się inni amatorzy świeżego powietrza, poza tym było już późno i Jurek musiał wracać. Całe dzinsy miał ubrudzone trawą. Czy ktoś dzisiaj zdaje sobie sprawę czym wtedy były dzinsy? Większość z nas miała jedną parę i szanowała ją jak skarb, nie ma co, chłopak poświęcił dla mnie ówczesną świętość i zapunktował u mnie, bo nie robił z tego żadnego problemu. Dokładnie ustaliliśmy dzień naszego spotkania, godzinę orientacyjnie, bo pamiętałam tylko, że między trzynastą, a czternastą przyjeżdża pociąg z mojej miejscowości. Mieliśmy w planie spędzić z sobą trochę czasu i jeśli będzie tak, jak dzisiaj, gotowa byłam się zakochać.

W dzień wyjazdu zasnęłam, w pośpiechu ogarnęłam się po łebkach, postanawiając makijaż dokończyć w pociągu i biegiem na stację. Schody na peron wychodziły z przejścia podziemnego, wbiegałam na nie co tchu, a na ostatnim stopniu widzę lokomotywę elektrycznego składu, która właśnie rusza. Kilka kroków ode mnie widzę motorniczego, on też mnie zauważył, moją rozczerwaną minę, zrezygnowane machnięcie ręki i nikt mi nie wierzy, a to fakt, wstrzymał pociąg i otworzył drzwi do pierwszego wagonu. Byłam taka szczęśliwa, udało się, za dwie godziny spotkam się z Jurkiem. Ciekawe, czy ta chemia między nami nadal działa? A co jeśli w słońcu dnia czar pryśnie? No i co? No i nic, niedane mi się było przekonać. Jurka na peronie nie było. Przeszukałam wszystkie perony, dworzec, wróciłam do punktu wyjścia, usiadłam na ławce i nie wiedziałam, co jeszcze mogę zrobić, więc postanowiłam poczekać. Po godzinie rozczerwana kupiłam bilet i wsiadłam do pociągu. W domu zachodziłam w głowę, co mogło się stać, wydawało się, że oboje bardzo chcemy ponownego spotkania, a tu taki numer. Kilka dni później pojechałam na wycieczkę do Budapesztu i stamtąd wysłałam kartkę z pozdrowieniami, ale oczywiście głupia duma nie pozwoliła mi zapytać wprost czemu nie było go wtedy na peronie. Przez następne tygodnie jeszcze czekałam, nadzieja z dnia na dzień malała, potem nawał codziennych wydarzeń pozwolił mi pogodzić się z porażką. Po kilku miesiącach dowiedziałam się okrężną drogą, że Jurek wtedy wyszedł na pociąg, ale mnie w nim nie było, natomiast pozdrowienia ode mnie uznał za grzecznościowe zakończenie znajomości. Jak to możliwe? Doszłam do tego, sprawdzając rozkład pociągów. Ten, którym ja jechałam, przyjeżdżał do Gdańska godzinę później niż odchodzący po nim pośpieszny. Okazało się, że gdyby nie uprzejmy pan motorniczy, pojechałabym tym następnym i spotkalibyśmy się z Jurkiem. Ale cóż, straciliśmy swoją szansę,

przyszło nowe oczarowanie i przez następne lata praktycznie o wszystkim zapomniałam.

Grudzień 2015

I

Listopad minął na lamentowaniu, na przemian z afirmacjami, jak to dobrze, że wyszło szydło z worka zanim zakochałam się bardziej (jeśli można było bardziej). Muszę to przyznać, kocham tego kłamliwego przedstawiciela fałszywego, samczego rodzaju. Przychodziły e-maile, dzwonił telefon, ale nie odbierałam, nie miałam z nim kontaktu od momentu, kiedy zraniona do żywego wybiegłam z jego domu zapłakana, ubierając się po drodze. Oczywiście wcześniej wygarnęłam mu, co myślę o jego postępowaniu.

- Tak, przypominałam sobie, ale zdaje się, że ty zorientowałeś się wcześniej – wycediłam przez zaciśnięte zęby. Spojrzałam na niego, a ten zdrajca się uśmiechał.

- Rzeczywiście, wiedziałem, że to ty, od razu skojarzyłem sobie imię i nazwisko, kiedy Mirka informowała mnie, że pilnować domu przyjedzie wspaniała, atrakcyjna i bardzo kochana przyjaciółka Kinga Kalinowska. Teraz wyglądasz inaczej, schudłaś i masz jaśniejsze włosy, ale wciąż te same ciepłe niebiesko-zielone oczy. Nie powiedziałem ci od razu, bo chciałem dać nam drugą szansę i...

- Faktycznie, przez kłamstwo i manipulację buduje się relacje międzyludzkie! A jeśli chcesz wiedzieć, to byłam na tym peronie, tylko tobie nie chciało się zaczekać na następny pociąg.

Nie czekałam, nie obchodziło mnie, co ma do powiedzenia, manipulował mną przez dwa tygodnie, zakochałam się w nim jak głupia, wiadomo - ja to mam szczęście!

Moje dziewczyny zajęły różne stanowiska, kiedy spotkałyśmy się na mamrotach.

- Masz święte prawo się oburzać. Zwlekał z wyjawieniem prawdy zbyt długo, wygląda jakby zabawiał się tobą, ale nie przejmuj się, co cię nie zabije, to cię wzmocni, minie trochę czasu, przebolesz i jeszcze zaświeci dla ciebie słońce – Iza jak zawsze, uczciwa do bólu.

- Ja nie byłabym taka pewna, że kierowały nim złe intencje. Może bał się, że możesz być do niego uprzedzona, chciał żebyś poznała go, jaki jest teraz,

i nie porównywała go do tego młodego chłopaka, którego kiedyś poznałaś. Może on też miał nadzieję na miłość? - Maria już taka jest, szuka dobra w każdym.

- Miałaś fajny romans? Miałaś, a jak to się skończy, jeszcze nie wiadomo – po paru wielkich kieliszkach wina skłonna byłam przyznać rację Kasi.

Natomiast Alicja wsiadła na mnie jak nigdy.

- Cel uświęca środki, a ty się zachowałaś jak skończona idiotka, która nie zna życia i nie wie, że prawda nie zawsze jest najważniejsza. Przecież to on mógł się poczuć urażony, że go nie poznałaś, a jemu zależało na tym, żeby coś między wami się wydarzyło. Byłoby tak, gdyby nie twoja urażona duma! W miłości i na wojnie wszystkie chwytaki są dozwolone!

Serce chce przyznać rację Alicji, ale zraniona duma nie odpuszcza i jak na razie wygrywa. Bo przecież wiedział z tamtej rozmowy, co lubię, a co mnie odrzuca, mógł stosownie do tego manipulować mną, a jednak zagrał ryzykownie, bo moje poglądy mogły się przez lata zmienić.

II

W Olsztynie ruszyły tramwaje, powiało XXI wiekiem i nawet malkontenci musieli przyznać, że rewitalizacja tramwajów była dobrym pomysłem. Listopad, ponieważ jest to miesiąc wstrętny i ponury, wymaga poprawienia nastroju. Ja rozweselałam się kupowaniem prezentów gwiazdkowych. Uwielbiam przedświąteczną atmosferę i już nie przeszkadza mi to, że handel zaczyna nas nakręcać w połowie listopada. Nie inaczej w tym roku, zasiadałam przed laptopem i przeglądałam różne strony w poszukiwaniu inspiracji. Przestałam dostawać maile i SMS-y od Jurka (zapieкло, że tak szybko się poddał, a ja już się łamałam). Mam liczną rodzinę, ale szaleństwa wydatków nie ma, bo ustaliliśmy limit na osobę i staramy się go trzymać. Jest to tym większe wyzwanie, aby kupić niedrogi, a pasującego dla danej osoby. Krzysztof nigdy nie życzył sobie prezentów gwiazdkowych, poza tym nie zawsze chce jechać na Wigilię do moich rodziców. W tym roku już zapowiedział, że go nie będzie. Na temat mojego niefortunego romansu powiedział tylko, że zna mnie na tyle dobrze, że nie zakochałabym się w kimś kompletnie tego niewartym (oj, nie znał mnie na tyle dobrze, na niektóre moje oczarowania najlepiej spuścić zasłonę niepamięci). Jako pierwsze przewertowałam księgarnię, może jakaś książka polityczna dla taty, może kryminał nordycki dla szwagra, a jeszcze nasza najmłodsza lubi czytać, ale tu musiałam najpierw zasięgnąć języka u siostry. O, a ta "Ekonomia na przestrzeni dziejów" idealna dla brata Aleksandra. No, ale już kalendarz z kotami muszę kupić i powiesić w firmie, wezmę jeszcze jeden, na pewno przyda się rezerwowo prezent dla tych mniej obdarowanych. Właściwie żeńska część rodziny nie jest wielkim

problemem, kosmetyki, perfumy, galanteria. Za to mężczyźni, to jest wyzwanie, praktycznie nigdy nie są zadowoleni z tego, co dostają, dobrze, jeśli chociaż głośno nie komentują. Pamiętam Boże

Narodzenie sprzed kilku lat, kupiłam transporter na butelki wina, byłam z siebie bardzo zadowolona, elegancki przedmiot i jaki przydatny dla konesera! Mój brat skomentował krótko - „zadziwiające jest, jak można wyprodukować rzecz tak zupełnie nieprzydatną”. Było mi trochę przykro, a on przekonał się z czasem do transporterka i jednak go używa. Najmłodszemu pokoleniu (same dziewczyny) kupuję drobiazgi i załączam banknot, sama pamiętam z młodości, że wiele razy zamieniłabym swój prezent na pieniądze, bez najmniejszego wahania. W ostatnich latach dostałam oprócz standardów, fajną figurkę kota, a także designerską, metalową miskę na owoce, stoją na parapecie i budzą przyjemne uczucia, jak na nie spojrzę.

W ciągu dwóch tygodni miałam zamówione wszystkie prezenty, nawet dla Marty przepiękną filiżankę ze spodeczkiem, bo ona lubi piękne przedmioty.

III

Niepostrzeżenie nadszedł grudzień, niedługo zobaczę się z moją córeczką, rozmawiamy ze sobą prawie codziennie, ale martwię się o nią i chciałabym uściskać ją w realu, kiedy szczęśliwie wróci do kraju. Tęsknię też przeokropnie za Jurkiem, chociaż próbuję obrzydzać go sobie na wszelkie sposoby, nic z tego, miłość tak łatwo nie przechodzi. W codziennych czynnościach, przy oglądaniu filmu, czytaniu książki łapię się na tym, co on by na to powiedział. Oboje nie bylibyśmy zadowoleni z obrotu wypadków w kraju, nie pozostaje nic innego niż przeczekać ten trudny okres. Mam masę pracy w szkole językowej i z tłumaczeniami, co mnie cieszy, bo nie pozostaje zbyt wiele czasu na rozmyślanie. Do świąt nie spotkamy się w mamrotowym gronie, bo wszystkie koleżanki, oprócz mnie, muszą je przygotować. Mam to szczęście, że mama z pomocą siostry szykuje uroczystą wieczerę wigilijną, a pierwszy dzień świąt to degustacja potraw Ewy, która jest znakomitą kucharką. W Wigilię zbieramy się tradycyjnie całą rodziną, przy suto zastawionym stole, z obowiązkowym siankiem pod obrusem i nakryciem dla przygodnego wędrowca, dzielimy się opłatkiem, po kolacji śpiewamy kolędy, potem zabawa z prezentami, a na koniec młodzież idzie na pasterkę. Nie jestem zbyt religijna, ale podoba mi się atmosfera Bożego Narodzenia, jego rodzinny charakter, a także jego symbolika, wybaczenie win i zwiastowanie nowego lepszego ładu.

Wreszcie nadszedł dzień wigilii, Marta szczęśliwie już wyjechała z Warszawy do domu dziadków, a ja szykuję się do wyjazdu. Jestem wykąpana,

z mokrymi, potarganymi włosami, w samym szlafroku pakuję walizeczkę z prezentami. Nagle pukanie do drzwi, nie mam zamiaru otwierać, bo chociaż nie mam nic przeciwko żadnej religii, spotkanie z wyznawcami Jehowy uważam za stratę czasu. Ktoś ponownie puka, chyba nie ma zamiaru odejść, a może sąsiad? Patrzę przez wizjer, ale na klatce jest zbyt ciemno, by cokolwiek zobaczyć. A tam, otworzę, może kolędnicy próbują dorobić w święta?

Zatkało mnie, tak najlepiej można opisać moją reakcję. Jurek mówi coś o zbłąkanym wędrowcy, którego nie wolno wygonić w Wigilię, a ja patrzę bez słowa i nagle we mnie coś się odblokowało, wciągam go do mieszkania, on próbuje coś mówić, ale zamykam mu usta pocałunkiem. Rzucamy się na siebie stęsknieni dotyku naszych ciał, rozbieramy się w pośpiechu, żeby nic nie przeszkadzało nagim ciałom poczuć siebie. Wtedy przestajemy się spieszyć, powoli całujemy swoje włosy, twarze, piersi jak dwie części doskonałego mechanizmu, które znów połączone synchronizują się i nadają na tej samej fali. Kochamy się bez pośpiechu, delektując się każdą chwilą, szepczemy wyznania miłości i tęsknoty, aż na koniec, już po małej eksplozji w naszych wnętrzach splatamy się ze sobą, jak to tylko potrafią zakochani. Długo leżymy spełnieni, szczęśliwi, spokojni. „Teraz wszystko we wszechświecie ma swoje właściwe miejsce” rozmarzam się. Ale, ale przecież dziś Wigilia i trzeba szybko się zbierać, żeby zdążyć, podrywam się więc z impetem, którym trochę przestraszyłam Jurka.

- Przecież Wigilia, nie możemy się spóźnić, zadzwonię tylko do mamy, że przybędzie ze mną zbłąkany wędrowiec i zbieramy się migusiem! Gdzie są twoje rzeczy?

- Ale czy to tak wypada pojawiać się bez zapowiedzi u twojej rodziny?

- Nie znasz mojej rodziny, będą mieć świetny ubaw, a teraz szybciotko zaginaj do hotelu po swoje rzeczy, bo za dwie godziny wyjeżdżamy.

- Niezła z ciebie szefowa, z tej strony cię dotąd nie znałem.

- Nie znasz jeszcze wielu innych moich twarzy, a ja twoich, mam nadzieję, że będziemy je razem odkrywać.

- Też mam taką nadzieję... I jak tu znowu nie zacząć się całować, ja oprzytomniałam pierwsza.

- Mówiłam biegusiem!

Wypchnęłam go z domu, a sama włączyłam autopilota, tyle myśli i uczuć kłębiło mi się w głowie, że rutynowe wykonywanie zadań było najlepszym rozwiązaniem. Po pierwsze szybki telefon do mamy.

- Cześć kochanie – odezwała się po chwili, czy coś się stało?

- Stało, ale nic złego, czy mogę przywieźć dzisiaj kogoś ze sobą, powiedzmy strudzonego wędrowca.

- Nie ma sprawy – roześmiała się mama – przecież wiesz, że wszyscy lubimy gości, choć i tak ciasno, bez problemu ścieśnimy się jeszcze bardziej, ale ty

się lepiej pośpiesz, zostały dwie godziny!

- Kocham cię mamo! Jak zawsze niezawodna, zwiększam tempo więc powinnam zdążyć na czas.

No tak, trzeba szybko wymyślić prezent dla Jurka, najlepiej przeszukać książki, które kupiłam z zamiarem przeczytania w wolnym czasie, ale odpowiedni czas nie nadszedł dla niektórych z nich i teraz czekają na półce na swoją kolej. Zobaczmy, co my tu mamy... ostatnia Joanna Bator jako pierwsza (tęsknię do klimatu jej powieści, ale cóż, jeszcze nie miałam nastroju), kilka książek pozycji podróżniczych, to nie bardzo chyba dla Jurka hmm... Jest, mam adekwatną lekturę, poradnik czytany z dwóch stron „Jak mądrze kochać mężczyznę”, a od drugiej strony „Jak mądrze kochać kobietę”. Oba poradniki spotykają się pośrodku i w zabawny sposób wciągają czytelników do odsłonięcia przed sobą rąbka tajemnicy męskości i kobiecości. Lektura idealna na początku budowania związku. Jeszcze tylko muszę pobawić się w moją bratanicę i napisać krótki wierszyk na bileciku. Poezja niezbyt górnolotna, ale liczy się przecież intencja! „Nie tylko w słonecznej Hiszpanii znajdziesz powabne panny, również rozwódki i wdowy, na nie też w Polsce bądź gotowy”. Dobrze, najważniejsza sprawa załatwiona, teraz trzeba doprowadzić do porządku siebie.

Uważam Wigilię za jeden z najważniejszych dni w roku. Nie szkodzi, że to nie jest, jak kiedyś dla mnie, przeżycie religijne, ważne jest spotkanie kilku pokoleń mojej rodziny, nacieszenie się ironiczną, a jednak podniosłą atmosferą (to nasze specyficzne poczucie humoru). Nieszkodliwe wycieczki osobiste, żartobliwe pytania o aktualne życie uczuciowe, życzliwe słuchanie ewentualnej odpowiedzi, nie wyduszanie jej, gdy nie masz ochoty na odpowiedź, styl bycia naszej rodziny to uśmiech, niezależnie od przeciwności, wszystko z przymrużeniem oka.

Boję się trochę spotkania Jurka z moją rodziną (a z Martą!?). Czy uda nam się zgrać? Wiem już, że go kocham i chciałabym, żeby wszystko było idealne.

No i co? No i jest! Jurek wchodzi w naszą rodzinną grę, jakby był członkiem rodziny od dawna. Doskonale sobie radzi z pytaniami obyczajowymi, a nawet z ekonomii (to mój brat ekspert chce wiedzieć, jak obywatel Hiszpanii odbiera trwający tam kryzys), tata najchętniej porozmawiałby o polityce Hiszpanii, ale tematy polityczne podczas Wigilii są zabronione. Marta pokazuje kciuk uniesiony do góry! Ewa na boku rzuca „gdzie ty dorwałaś takie ciacho”. Ogólnie atmosfera jest miła i niezobowiązująca. Obowiązkowo chwalimy wyśmienite potrawy przygotowane przez moją mamę i siostrę, a są to doświadczone kucharki i jest to oczywista oczywistość. Nie może zabraknąć kolęd. Od kiedy pamiętam, bardzo lubię tę część wieczoru. Gdy byliśmy zupełnie mali, śpiewaliśmy bez akompaniamentu, ale szybko, bo już w wieku kilku lat, brat nauczył się grać na gitarze i od tamtej pory w miarę upływu czasu i rozrastania się rodziny mamy całą grupę gitarzystów (brat, szwagier i obie siostrzenice). Aktualnie najczęściej gra

najmłodsza, czternastoletnia Alicja. My z Martą niestety śpiewać nie potrafimy, ale za to bardzo lubimy, więc nie odpuszczamy. Jurek nie zna słów, ale to żadna przeszkoda, bo już znalazł się śpiewnik. Nadszedł już czas, wszyscy czekają na prezenty, mamy co prawda zwyczaj kupowania drobiazgów, z wyjątkiem składkowych prezentów dla najmłodszego pokolenia, ale i tak lubimy to otwieranie, oglądanie, niech to będzie najtańszy krem albo zakupione grupowo perfumy, wszystko cieszy tak samo. W tym roku nie inaczej po zdarciu gardziołek na kolędach, dostajemy wyciągane przez Alicję spod choinki podarunki. Pokazujemy sobie nawzajem, co dostaliśmy, komentujemy aforyzmy Julii. Ale, ale, w tym roku mamy gościa, zbłąkanego wędrowca, który ku ogólnemu zaskoczeniu, też przygotował coś po choinkę. Wszyscy dostali typowe hiszpańskie gwiazdkowe słodczyce w ogromnych bombonierkach, na czele z moim ulubionym turrone. Jest też coś dla mnie, tajemnicza koperta. Nie spieszę się z jej otwarciem, wszystkie oczy skierowane są na mnie, no dobra rozrywam kopertę i w środku znajduję arkusik papieru, jest to voucher na tygodniowy pobyt w Tel Awiwie, w pięciogwiazdkowym hotelu Leonardo. Nie mógł zrobić mi większej przyjemności, w czasie naszych rozmów w Maladze często wspominałam moje dwa pobyty w Izraelu, a szczególnie pochlebnie wyrażałam się o Tel Awiwie i hotelu, w którym tam mieszkałam, Leonardo właśnie. Boże, czy to nie skarb, mężczyzna, który słucha, co mówi do niego kobieta!?

Oczywiście całuję go czule i wyrażam zgodę na wyjazd, kiedy? W połowie kwietnia, idealnie, przyroda świeżo rozkwita po zimie, słońce nie parzy, ale rozświetla wszystko delikatnym blaskiem, wieczory nie tak długie jak w lecie, za to przyjemnie ciepłe i nastrojowe. Te święta bez wątpienia przebijają wszystkie poprzednie, no przynajmniej jeśli chodzi o szczodrość świętego Mikołaja.

IV

Marta prosto ze świąt u dziadków pojechała w góry, obiecała mnie odwiedzić dopiero w połowie stycznia. Czas z Jurkiem spędzamy, co tu kryć, głównie w łóżku, ale nie tylko. Chadzamy na kolacje do moich ulubionych restauracji, w ciągu dnia jadamy tylko jakieś przekąski. Jestem przy nim swobodna do tego stopnia, że całkowicie rezygnuję z makijażu, ale nie z suplementów, co to, to nie. Mało tego, wciągam go do suplementarskiej sekty i razem ze mną zaczyna brać witaminę D, oleje z wiesiołka i lnu, jagody Acai i Grawiołę. Ja biorę oprócz tego jeszcze kilka preparatów, ale i tak znacznie ograniczyłam ich ilość, pozostawiając te, które mają bezpośredni wpływ na moje zdrowie.

Dni szybko mijają.

- No, ale powiedz, kiedy poczułeś, że mnie kochasz?

- Jak tylko cię zobaczyłem, wtedy na studiach, teraz to tylko zostało wyciągnięte z zakamarków pamięci.

- Wiesz, że ja chyba tak samo, przez lata starałam się zapomnieć o tamtym rozczarowaniu, aż w końcu mi się udało, ale gdzieś w głębi tliła się iskierka, która potrzebowała ponownego spotkania, aby zapłonąć pełnym ogniem.

Sylwestra spędzamy, jakże by inaczej, w łóżku z butelką szampana i drugą Cavy (hiszpańskie wino musujące, pycha!) na „musująco” w każdym razie, patrzmy na fajerwerki i obydwójce czujemy smutek z powodu jutrzejszego rozstania.

- Ale codziennie na Skypie? - wychodzi ze mnie organizatorka.

- Oczywiście, kocham cię.

Prawie do rana kochamy się czule, jakby tak było od początku świata i miało pozostać do jego końca. Słońce budzi nas z krótkiej drzemki, chociaż niewyspani czujemy się bardzo szczęśliwi. Właściwie to nie pamiętam, żebym kiedykolwiek czuła się taka szczęśliwa. Moje życie było fajne, dające dużo radości i satysfakcji, były też różne miłości, ale do takiej jak ta, musiałam po prostu dorosnąć.

Kwiecień 2016

I

Tak więc siedzę zgodnie z planem w samolocie rejsowym do Tel Awiwu. Jest późny wieczór, pasażerowie kokoszą się na swoich miejscach, żeby w jak najwygodniejszej pozycji złapać trochę snu. Ja też w poduszce powietrznej wokół szyi, przykryta ogromnym kaszmirowym szalem, mam nadzieję zdrzemnąć się choć odrobinę. Jestem zmęczona, wiadomo moim niezawodnym Suzuki musiałam z zapasem czasowym stawić się na parkingu niedaleko lotniska. Obsługa parkingu odwozła mnie do hali odlotów na trzy godziny przed startem samolotu, więc najpierw wygniotłam kości na twardej ławce, potem te wszystkie procedury, zameldowanie się na stanowisku odpraw, te wszystkie kontrole, oczekiwanie na boarding i na końcu tej drogi uff, siedzę na swoim miejscu. Mimo zmęczenia, czuję dreszczyk emocji, który pomimo tylu wylatanych godzin pojawia się u mnie przed startem.

Lot trwa już pół godziny, a tu drzemki ani widu ani słychu, pograżam się więc we wspomnieniach minionych miesięcy. Z Jurkiem widywaliśmy się regularnie, raz ja do niego leciałam raz on do mnie, wciąż zachowywaliśmy się jak młodzi zakochani, wpatrzeni w siebie, no śmiesznie po prostu jak na nasz wiek.

Alicja pogratulowała mi właściwego wyboru, jak to ona - „Cóż ci po honorze, jeśli nie ma miłości, cieszę się twoim szczęściem, mam nadzieję, że z czasem będzie tylko lepiej, jak u mnie z Mariuszem”. Alicję spotkała wielka tragedia, jej tata umarł na raka, a ona była z nim silnie związana. To był bardzo dobry człowiek i ojciec, na jego pogrzebie były tłumy, na zakończenie uroczystości pięknie zagrały trąbki. Płakałam razem z Alicją, to wielka strata. Ale ona jest dzielna, ”Dostałam od niego tyle dobra, że wystarczy mi wspomnień na całe życie, a poza tym on jest teraz częścią wszechświata, będzie mnie wspomagał codziennie”. Tak właśnie będzie Alicjo.

Odbyło się kilka mamrotowych spotkań, na których sytuacja moja i Jurka została dokładnie omówiona. Dziewczyny nawet stwierdziły, że trochę zazdroszczą mi tych uniesień, ale zaraz dodawały rozsądnie, żebym uważała i nie dała się skrzywdzić, wszak nie od dziś wiadomo jak bardzo można skrzywdzić w imię miłości. Kasia zrobiła mi kilka zabiegów upiększających, bo „od dbania o siebie miłość nie zwalnia”. Moja nowa miłość zyskała ich błogosławieństwo. Kochane dziewczyny, zawsze mogę na nich polegać.

Co to, czyżby już lądowanie? No to trzeba się zbierać, na lotnisku ma na mnie czekać Jurek i nie mam zamiaru w dobie telefonów komórkowych powtórnie się z nim rozminąć!

II

Jest, widzę z daleka jego szpakowate, długie loki (uwielbiam jego włosy), jeszcze chwila i on mnie też zauważy. Rzucamy się sobie w objęcia, obejmujemy się długo, jakby też za tamten uścisk z przeszłości, którego zabrakło. Teraz jest właściwy porządek wszechświata, rozdzieleni kochankowie już zawsze razem. Ale ja jestem sentymentalna, sama siebie nie poznaję. Jest ciemno, ruszamy do hotelu z mocnym postanowieniem wypoczynania do jutra. Bo jutro czeka nas Jerozolima, do której dotrzemy wypożyczonym samochodem. Oboje byliśmy tam już dwukrotnie, ale jest to miejsce, do którego się wraca, a ono wciąż dostarcza niezapomnianych przeżyć. To jutro, a dziś hotel Leonardo z jego przyjazną atmosferą, ogromnymi reprodukcjami „Mony Lisy”, „Damy z gronostajem” i „La Belle Ferroniere” w recepcji i powitalnym poczęstunkiem. Prosimy oczywiście o miejsca na jak najwyższym piętrze, z szeroką panoramą na miasto. Piętro 23, jak dzień moich urodzin. I jak tu nie wierzyć w znaki? W pokoju od razu rzucamy się na łóżko, nie, nie, tym razem nie ma igraszek, obejmujemy się mocno i zasypiamy. Budzimy się późnym wieczorem głodni jak wilki. Szybkie prysznice, świeże ciuchy i już jesteśmy gotowi do wyjścia na kolację. W Tel Awiwie roi się od różnorodnych przybytków gastronomicznych, osobiście uważam kuchnię izraelską

za jedną z najlepszych na świecie. Połączenie wpływów sefardyjskich z aszkenazyjskimi dało niezwykle smaki. I tym razem bardzo smakuje mi zupa rybna, szaszłyk z jagnięciny i pyszne lody na deser. Objedzeni robimy się ociężali, tak, wypoczynek do jutra to wspaniały pomysł.

Następny dzień budzi nas słonecznym promieniem przebijającym się przez niedokładnie zasłonięte zasłony, wstajemy rześcy, pałaszujemy pyszne śniadanie i w drogę. Ubrani jesteśmy stosownie do miejsca, do którego zmierzamy, bo choć w Tel Awiwie zapowiada się upalny, słoneczny dzień, w Jerozolimie zawsze jest o kilka stopni chłodniej i często deszczowo. Na miejscu chłoniemy atmosferę tego niezwykłego miasta, w którym na tak niewielkiej powierzchni wydarzyło się tak wiele. Niespiesznie przemierzamy Drogę |Krzyżową, włączymy się po żydowskiej części, gdzie obowiązkowo degustujemy lokalne potrawy. Pod Ścianą Płaczu rozdzielamy się, Jurek idzie do sektora dla mężczyzn, a ja do maleńkiej części wydzielonej dla kobiet. Umieszczam karteczkę z modlitwą w ścianie (oczywiście nie powiem, co napisałam, chcę przecież, żeby się spełniło). Wracamy do siebie i przez dłuższy czas przyglądamy dużej grupie ludzi tańczących i uczujących z okazji Bar micwy (tata trzyma bohatera uroczystości na barkach i tak tańczy). Nagle spoglądam na Jurka, wydaje mi się taki szczery, przyjazny w stosunku do innej kultury, że obejmuję go czule i szepczę - „kocham cię i zawsze będę cię kochać”. A on tylko uśmiecha się szelmowsko i mówi - „trzymam cię za słowo”. Ruszamy dalej do Muzeum Księgi, oglądamy eksponaty z całego świata, a na zewnątrz makietę Jerozolimy z czasów jej świetności, aż wędrujących zmrok zmusza do powrotu.

Ta noc nie jest już niewinna, z tęsknotą odkrywamy na nowo nasze ciała, aż stają się jednością, potem spleceni zasypiamy. Ranek jest równie dobry na miłość jak noc, my też tak uważamy i nie przegapiamy tego poranka.

Jesteśmy w Tel Awiwie, to duże miasto, ciągnące się wzdłuż, zdawałoby się, nieskończonej plaży. W pobliżu naszego hotelu też jest plaża i na nią udajemy się około południa. Piękny, czysty, błyszczący piasek, grupki roześmianych ludzi. Podziwiam Izraelczyków, którzy mimo nieustannego zagrożenia potrafią czerpać z życia prawdziwą radość. Teraz, kiedy terroryści poczynają sobie coraz śmielej w Europie, tym większy mam szacunek dla Izraela, że mrówczą pracowitością wywiadu, wojska i obywatelską postawą samych mieszkańców bohatersko daje odpór terroryzmowi. Patrzę na Jurka, on ściska moją dłoń i cały świat wokół przestaje istnieć.

Następne dni to niespieszna eksploracja miasta. Szczególnie dużo czasu spędzamy w dzielnicy Bauhausu, bo obydwójce jesteśmy wielbicielami tego stylu. Odwiedzamy muzeum Yad Vashem, podziwiamy gmach Parlamentu, naprzeciwko niego podchodzimy pod gigantyczną Menorę, godło Izraela. Wyrzeźbione są na niej sceny z historii Izraela, pokazana jest bardzo obrazowo procedura

odzyskiwania ciała po Sądzie Ostatecznym. Ważne jest w Judaizmie, żeby po człowieku zostało jak najwięcej szczątków. Współcześnie istnieją specjalne brygady, które zbierają szczątki ludzkie po katastrofach lub innych wypadkach. Dlatego dla wierzących Żydów Holocaust był taką tragedią, bo po spaleniu zwłok tracili szansę na zmartwychwstanie.

Nieubłaganie nadchodzi ostatni wieczór, postanawiamy spędzić go w hotelu, zamówić kolację, a następnie na spokojnie uporządkować wrażenia. Wchodzę do pokoju, a tam pięknie nakryty stół, białe róże w wazonie, szampan w kubelku A w tle przepiękna panorama miasta, widoczna przez otwarte okna, no bajka po prostu. Ale okazuje się, że to nie koniec niespodzianek. Kończymy jeść kolację, pijemy już drugą butelkę szampana, gdy nagle Jurek klęka na jedno kolano i wyciąga do mnie rękę z puzderkiem. Jestem tak zaskoczona, że jeszcze nie chwytam o co chodzi. A on schrypniętym głosem mówi.

- Wiem, że cię stawiam w niezręcznej sytuacji, ale dla mnie to kwestia teraz albo nigdy, po prostu muszę cię o to zapytać, czy mogłabyś zmienić swoje życie dla mnie i zostać moją żoną?

Nie zastanawiam się długo, przecież kocham tego mężczyznę.

- Tak, pod warunkiem, że ślub odbędzie się 23 czerwca.

Oboje wybuchamy śmiechem, a ja wreszcie mogę zobaczyć zawartość puzderka,. Piękny w swojej prostocie, dokładnie w moim guście, bo płaski, a ja nie lubię zbyt wysokich, pierścioneńk zaręczynowy. Reszta wieczoru upłynęła na rozmyślaniu, jak to będzie, gdy wypełnią nasze wady, całkiem przyziemne, podczas wspólnego życia, ale obydwójce machnęliśmy ręką, najwyżej będziemy szukać kompromisu oraz jak sobie poradzę z pracą. Ale doszłam do wniosku, że mogę pozostać przy samym pilotowaniu, a dojeżdżać na spotkania z turystami można z każdego miejsca, poza tym ile jest wycieczek i indywidualnych turystów w Hiszpanii spragnionych pilota-przewodnika! Szczęśliwi snuliśmy plany na wspólną przyszłość, będziemy dużo podróżować, a w czasie pomiędzy trochę pracować, a trochę leniuchować. Oboje lubiliśmy czytać, od czasu do czasu zalegać na kanapie przed telewizorem, słuchać muzyki, chodzić na długie, piesze wycieczki. Mamy też dzieci, moją rodzinę i mnóstwo innych życzliwych dusz wokół, razem poradzimy sobie z każdym problemem, snuliśmy idylliczne plany, wciąż nie mogąc się nadziwić, że mamy je z kim snuć.

Lipiec 2016

Czy wspominałam już, że pakowanie to czynność, którą wykonuję na autopilocie? Tym razem pakuję się w podróż poślubną do Meksyku. Oboje

czujemy się tam jak w domu, kochamy ten kraj. Trzeba zabrać dużo lekkich ciuszków, obowiązkowo kilka kostiumów kąpielowych i strojów plażowych. Przez ostatnie dwa tygodnie po ślubie kompletowałam garderobę przez Internet, żeby w nowe życie wejść w nowych ubraniach (oczywiście bez przesady, mam trochę starych ulubionych i nie mam zamiaru z nich rezygnować). Na przykład to turkusowe pareo, wykonane z delikatnej, ale mocnej tkaniny, może być noszone na wiele sposobów i idealnie pasuje do tego kostiumu z turkusowym wzorem. Sukienkę ślubną też zamówiłam przez Internet, było trochę nerwowo, bo mało czasu, ale gdy przyszła, od razu wiedziałam, że o to mi chodziło, a po niewielkich poprawkach mojej nieocenionej od wielu lat krawcowej była jak ulał. Oczywiście biała, z kilku warstw delikatnego jedwabiu, elegancka, z nutką romantyzmu. Welon z oczywistych przyczyn nie wchodził w rachubę, dużo piękniejsze i bardziej odpowiednie było wpięcie kwiatu. Uroczystość ślubna odbyła się w ogrodzie naszego domu, a przysięgę przyjmował od nas polski konsul. Oprócz nas obecne były tylko nasze dzieci w charakterze świadków ceremonii. Byliśmy wszyscy bardzo wzruszeni, polały się łzy szczęścia, ja już tak mam, że łatwo płaczę, ma tak moja córka, no i okazało się, że ta przypadłość dotyczy też Jurka i jego syna.

- Tyle lat na ciebie czekałem, nie mogę uwierzyć w swoje szczęście.

- To ja nie mogę uwierzyć, że mam szansę na dalsze życie u boku tak wspaniałego człowieka.

Potem zasiedliśmy do tortu lodowego (dzieło Marii) i wypiliśmy szampana. Dalszą częścią uroczystości było wieczorne wyjście na tańce. Piotr, syn Jurka (oficjalnie Pedro) okazał się bardzo miłym i poukładanym, młodym człowiekiem, przegadaliśmy sporo godzin i cieszę się, że będę jego macochą (a gdyby Marta zechciała... ech marzenia). Uroczystości w większym gronie planujemy po powrocie z podróży poślubnej, jedną dla mieszkańców Hiszpanii, drugą w Polsce. Marta chce urządzić wszystko w Polsce beze mnie i jest tak zapalona, że nie mogę tego odebrać własnemu dziecku, będzie więc przyjęcie niespodzianka. Udaję, że nie słyszę, jak naradza się z Krzysztofem, Alicją, „mamrotowym kółkiem” i moją siostrą Ewą. I naprawdę nie chcę słyszeć, będę się cieszyła z tego przyjęcia, nie ma znaczenia gdzie, ważne z kim, a to mam zapewnione, że z właściwymi osobami. W Hiszpanii to ja zorganizuję przyjęcie, oczywiście w dobrej restauracji, z tańcami. Mój mąż wie, że nie przepadam za pracami domowymi, ale przecież nie po to zatrudnia gosposię, żeby jego żona musiała takowe wykonywać. Odwdzięczę mu się kolacją przy świecach, którą sama ugotuję od czasu do czasu (bo tak w ogóle to gotować potrafię).

Patrzę na stos ubrań, otwartą walizkę, spoglądam na widoczny za oknem ogród, na parapecie drzemie Rufus. Zmieniłam swoje życie, owszem, bo będę żyć w Hiszpanii z ukochanym mężczyzną u boku, ale przecież nie przestanę pracować, często mogę odwiedzać Polskę, to tylko kilka godzin lotu, a poza tym mam Internet

i możliwość codziennych kontaktów on-line. Każdy pewnie odgadnie, co sobie pomyślałam. Ja to mam szczęście!

Dziękujemy za skorzystanie z oferty naszego wydawnictwa i życzymy miło spędzonych chwil przy kolejnych naszych publikacjach.

Wydawnictwo Psychoskok





Kinga Kalinowska

Ja to mam
SZCZĘŚCIE!